

SPORT

TRAVEL

MOUNTAIN

SPIRIT

# CRAG

*magazine*

WYDANIE II 2016

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



**PIOTR ŚNIGÓRSKI** *Słów kilka o freeridzie*  
**AGATA WIŚNIEWSKA** *Życie i wspinanie w Izraelu*  
**AGNIESZKA GRABOWSKA** *Alpy widziane zza biurka*  
**JAN KUCZERA** *Tatrzańska superlinia*

CRAGmagazine.pl





Bob Downs and Susannah Calvin, La Parva, Chile. Photographer: Adam Clark



The Halo 28  
JetForce: A revolution  
in airbag technology.

 **Black Diamond®**

[BlackDiamondEquipment.com](http://BlackDiamondEquipment.com)



## OD REDAKCJI

Wraz z drugim wydaniem CragMagazine chcielibyśmy wprowadzić Was w świat sportów popularnych w dzisiejszym świecie, jednak często sprawiających wrażenie niedostępnych dla przeciętnego człowieka. Podstawowe informacje na temat freeridu, drytoolingu, czy slackline'a przedstawia wam eksperci w tych dziedzinach. Zabierzemy Was również w podróż rowerem po Australii, camperem po USA oraz pokażemy jak wygląda życie codzienne w Izraelu. Jeśli to wciąż zbyt mało, to zapraszamy Was do balijskiej fabryki hamaków Ticket To The Moon oraz austriackiej siedziby marki Black Diamond. Mamy nadzieję, że dzięki ludziom, którzy podzielili się z nami swoimi doświadczeniami, zachęcimy Was do realizacji najodważniejszych marzeń!

**Małgorzata Rudzińska**

# SPIS TREŚCI

PIOTR ŚNIGÓRKSI *O Freeridzie słów kilka* **4**

AGNIESZKA GRABOWSKA *Alpy widziane zza biurka* **10**

MATEUSZ WALIGÓRA *WALKABOUT. Rowerem przez Canning Stock Route* **14**

CHARLES-ANTOINE DESCOTIS *Praca w raju* **18**

PIOTR BUNSCH *Wspinacze w USA* **22**

RAFAŁ KUBIAK *Slackline FAQ* **26**

AGATA WIŚNIEWSKA *Życie i praca w Izraelu* **28**

BARBARA SUCHY *W pogoni za śniegiem* **32**

JAN KUCZERA *Tatrzańska superlinia* **35**

DAMIAN GRANOWSKI *Krótkie wprowadzenie do drytoolingu* **36**



Demawend, Iran R: Maciej Barabasz Fot. Piotr Śnigórski



## O FREERIDZIE SŁÓW KILKA

PIOTR ŚNIGÓRSKI

Przyczepić dwie deski do nóg i zsuwać się na nich po śniegu. Dla przyjemności. Zaiste, Homo sapiens miewa dziwaczne pomysły. Mimo, że sam concept jest nieco śmieszny, jazda na nartach przyciąga ogromne rzesze ludzi. Tylko w Polsce do uprawiania narciarstwa przyznaje się ponad 4 miliony osób, czyniąc „białe szaleństwo” prawie sportem narodowym. Nad jakością tego „uprawiania” można by dyskutować, ale nie zmienia to faktu, że narty i snowboard są bardzo popularne. Coraz większym zainteresowaniem cieszy się też ich pozatrasowa odmiana - freeride. Ubrany w kolorowe gore-texy narciarz w agresywnym skrócie,

skrzący się w słońcu puch, błękitne niebo i ogromne górskie ściany - takie zdjęcia zwykle reklamują ośrodki narciarskie na całym świecie, nawet te niemające z dużymi górami czy freeridem wiele wspólnego. Mimo to, odbiór tego rodzaju aktywności, nawet przez samych narciarzy, jest ciągle bardzo różny: od zachwyty i fascynacji, przez zdystansowane zaciekawienie, po ostrą krytykę i wyzywanie od idiotów i samobójców, wsparte głęboką troską w duchu: „Co na to twoi rodzice”. Jazda pozatrasowa od zawsze budziła skrajne emocje. Kiedy to się zaczęło, kto wpadł na ten pomysł i z czym to się je?

## PIONIERZY

Wszystko prawdopodobnie zaczyna się około 4000 lat temu. Tyle mają najstarsze odkryte malowidła naskalne, przedstawiające narciarza. Za wynalezienie nart możemy dziękować Norwegom, ale dwie deski pojawiają się także w innych mroźnych miejscach na świecie, np. na Syberii. Narty długo mają niewiele wspólnego z górami, używa się ich tylko do przemieszczania się w głębokim śniegu. W Alpach narty pojawiają się w XIX wieku, lecz tu również służą jako środek transportu. Dopiero w okolicach 1890 roku zaczynają być używane do rekreacyjnych wycieczek oraz jako narzędzie pomocne w uprawianiu alpinizmu.

Polskim pionierem i propagatorem jest niewątpliwie Stanisław Barabas. W 1894 roku odbywa się słynna wyprawa nad Czarny Staw Gąsienicowy na posmarowanych oliwą z sardynek nartach. W pierwszych latach „łyżew” czy „latających desek” używa się głównie do wycieczek, jednak już na początku XX wieku mają miejsce coraz śmielsze wyczyny. Wyrpysy i zjazdy Mieczysława Karłowicza, Józefa Oppenheima, Mariusza Zaruskiego czy Bronisława Czecha do dziś budzą szacunek, szczególnie jeżeli weźmie się pod uwagę sprzęt jakiego wtedy używano.

## SKI EXTRÊME

Po II Wojnie Światowej na całym świecie powstaje coraz więcej ośrodków narciarskich. Wyodrębnia się narciarstwo zjazdowe, a sprzęt ewoluuje w kierunku metalowych krawędzi, twardych butów i sztywnych wiązań. Jeździ się jednak przede wszystkim w obrębie kurortów narciarskich, po wyznaczonych trasach. Dopiero w latach 60tych śmielsze spojrzenia padają na wysokie szczyty i nietknięte, strome zbocza. Na narciarskiej mapie świata jest miejsce, gdzie patrzy się na góry intensywniej. I na patrzeniu się nie kończy.

Chamonix - legendarne francuskie miasteczko, którego nazwa jest jak zaklęcie, elektryzuje narciarzy z całego świata. Jest Mekką dla freeriderów. Przynajmniej raz wypadałoby odbyć tam narciarską pielgrzymkę, stanąć na Aiguille du Midi i zjechać klasyki jak Couloir des Cosmiques czy Glacier Rond. Cham to jedna z kolebek alpinizmu o długiej i bogatej tradycji górskiej. Jest to też miejsce, w którym poprzeczka dopuszczalnego ryzyka wydaje się być podniesiona nieco wyżej. Góry są wysokie i strome, pełne iglic i postrzępionych grani. Teren jest trudny i wymagający, poprzecinany lodowcowymi szczelinami.

W latach 70. i 80. w rejonie tym ma miejsce duża liczba ekstremalnie trudnych zjazdów, dzięki takim narciarzom jak Sylvain Saudan, Patrick Vallençant, Anselme Baud czy Stefano de Benedetti. Stają się oni inspiracją dla kolejnych pokoleń pozatrassowców narciarzy, garściami czerpiących z ich doświadczenia i techniki. Pokazują, co tak naprawdę jest możliwe w górach. Źródło freeride'u, w postaci jaką najlepiej znamy z filmów czy zdjęć, należy jednak szukać po drugiej stronie oceanu.

## SKIBUMS AND JACKSON HOLE AIR FORCE

W latach 50. i 60. w Ameryce, podobnie jak w Europie, narciarstwo jest zarezerwowane głównie dla bogatej części społeczeństwa. Powstające jak grzyby po deszczu luksusowe kurorty potrzebują jednak siły roboczej. Przyciąga to młodych, zlaknionych nart ludzi, chwytających się każdej roboty, by móc jak najwięcej czasu spędzać na śniegu. Powstaje określenie ski bum (ski – narty; bum - włóczęga, próżniak). Ich majątek często stanowią tylko narty, samochód i przyczepa w której śpią. Ski bum wpisuje się na stałe w amerykańską kontrkulturę, stając się symbolem wolności i przygody. Obecnie ski bumów nadal jest sporo na całym świecie, mają się dobrze i stanowią nieodłączną część freeride'owej legendy i kolorytu.

Opisując historię narciarstwa w USA nie sposób nie wspomnieć o historycznym zjeździe Billa Briggsa ze szczytu Grand Teton w 1971 roku. Po tym wyczynie zyskuje on przydomek „ojca ekstremalnego narciarstwa” w Ameryce. O ile w rejonie Chamonix i w innych częściach Alp ma miejsce coraz więcej takich zjazdów, w Stanach jest to odosobniony wyczyn, mający jednak ogromny wpływ na rozwój narciarstwa pozatrassowego.

W połowie lat 60. na narciarskiej mapie Ameryki pojawia się nowy ośrodek - Jackson Hole. Na tle innych wyróżnia się dużym przewyższeniem i alpejskim charakterem. Uruchomiona w 1966 roku kolejka wywozi narciarzy na wysokość prawie 3200 m n.p.m. ułatwiając dostęp do rozległego i trudnego terenu. Jackson zaczyna przyciągać świetnych narciarzy z całego kraju. Sama jazda przestaje wystarczać - na nartach lata się coraz dalej i wyżej, pojawiają się pierwsze salta. Głęboki, amortyzujący lądowania i upadki puch oraz ukształtowanie terenu zachęcają do eksperymentów i przesuwania poprzeczki tego, co wydawało się niemożliwe. W granicach ośrodka narciarskiego znajduje się sporo wymagających, ciekawych czy wręcz legendarnych zjazdów jak np. słynny Corbet Couloir. Z czasem narciarskiej elicie z Jackson przestaje to wystarczać i zapuszczają się coraz dalej w góry, jeżdżąc poza ośrodkiem. Tu pojawia się problem - jest to nielegalne. Nie podoba się to władzom oraz części lokalnego śnieżnego patrolu. Powstaje tajna, nieformalna grupa narciarzy, określających się jako Jackson Hole Air Force. JHAF tworzy elita narciarzy i nie można zwyczajnie dołączyć do tej grupy. To oni Cię zapraszają, wręczając charakterystyczną czarną naszywkę z trupa czachą. Rozpoczyna się swoista zabawa w kotka i myszkę, trwająca wiele lat. Czasami zabawna, a czasami przybierająca niezbyt sympatyczne formy. Jazda poza ośrodkiem groziła utratą drogiego, całosezonowego skipassu, zakazem jazdy w Jackson, a nawet więzieniem. Przepychanki i pościgi między narciarzami a patrolem trwają grubo ponad 20 lat. Dopiero w 1998 r. Jackson Hole znosi zakaz jazdy poza trasami.







Alpy Lyngenske, Norwegia Fot. Piotr Śmigórski



Alpy Lyngenske, Norwegia R: Kinga Stus Fot. Piotr Śmigórski

## ALASKA I NOWA SZKOŁA

Jeżeli Chamonix jest Mekką, to Alaska jest narciarską Ziemią Obiecanych, czy też Świętym Graalem. Niekończące się, nietknięte przez człowieka łańcuchy górskie, potężne strome ściany i nigdzie indziej niespotykany śnieg - przyklejony do stoków, ale lekki i głęboki. Alaska dla narciarstwa została odkryta dopiero na początku lat 90tych. W 1991 roku rozegrano tam pierwsze zawody World Extreme Skiing Championships, które wygrał Doug Coombs - jeden z członków Jackson Hole Air Force.

Oblicze freeride'u powoli się zmienia. Narciarstwo to już nie tylko luksusowe, pełne futer i czerwonych swetrów, nudne Aspen, ani uduchowiony, ekstremalny górski wyczyn rodem z Chamonix. Film "Blizzard of AAhhh's" (1988 r.) z ekstrawaganckim, noszącym irokeza Glenem Plake'iem wstrząsa narciarskim światkiem, pokazując, że narty to przede wszystkim dobra zabawa. Synonimem narciarza nie jest już sztywny, podstarzały mistrz olimpijski konieczny z Austrii, lecz punkowy Seth Morrison z czerwonymi włosami i kolczykami. Drastycznie zmienia się sposób jazdy - skrety się wydłużają, a prędkość zwiększa. Jest to silnie związane z rozwojem sprzętu. Dzięki takim wizjonerom jak Shane McConkey narty stają się coraz szersze i pojawia się rocker. Równolegle w snowparkach rozwija się narciarski freestyle, w ogromnym stopniu zainspirowany przez snowboard. Do freeride'u wkraczają bardziej złożone i stylowe ewolucje. Narciarstwo staje się cool.

## DZIŚ

Freeride jest dziś ogromnym przemysłem: sprzęt, ubrania, filmy, gadzety, organizowane wyjazdy, heliskiing, szkolenia, obozy. W pewnym stopniu wraca też do korzeni. Po zachłyśnięciu się Alaską, śmigłowcami i skuterami, coraz więcej narciarzy zwraca

się ku lokalnym górcom, fokom i sile własnych mięśni. Ekstremalnie trudne zjazdy z lat 70. są teraz pokonywane w zupełnie innym stylu - na pełnej prędkości, przy minimalnej ilości skrętów. Co roku, na całym świecie rozgrywane są zawody z cyklu Freeride World Tour i towarzysząca im seria mniejszych zawodów kwalifikacyjnych.

Freeride staje się coraz popularniejszy i powszechniejszy. Dostępny sprzęt znacznie ułatwia jazdę w głębokim śniegu. Mamy dużo większą wiedzę na temat zagrożenia lawinowego i całe tony inspiracji z filmów czy z internetu. Jednak by dołączyć do freeride'owej braci trzeba spełnić kilka wymogów. Nie da się bezpiecznie i w satysfakcjonujący sposób jeździć bez dobrych umiejętności technicznych i wysokiej sprawności fizycznej. Odpowiednie, dobrze dobrane, nowoczesne narty, zaprojektowane specjalnie do jazdy w kopnym śniegu są bardzo pomocne. ABC lawinowe, czyli detektor, sonda, łopata i umiejętność posługiwania się nimi to podstawa. Podobnie jak jeżdżenie tylko w towarzystwie osób podobnie wyposażonych i wyszkolonych. Plecak lawinowy z systemem pompowanych poduch, które utrudniają zagrzebanie narciarza głęboko pod śniegiem jest również bardzo przydatny. Nie są to zbędne gadzety, czy objaw burzujstwa - te przedmioty i umiejętność posługiwania się nimi mogą uratować życie. Dobrze mieć również możliwość jazdy z bardziej doświadczonymi freeriderami. Świetnie opanowana technika skrętu to tylko początek drogi - we freeridzie ogromne znaczenie mają również umiejętności bezpiecznego poruszania w górach, "czytania" terenu, wybierania linii podejścia i zjazdu, znajomości rodzajów śniegu. Nie jest to sport łatwy ani bezpieczny, ale dający ogromną przyjemność, radość i satysfakcję. Przeżycia towarzyszące szybkiemu, płynnemu zjazdowi w głębokim śniegu trudno porównać do czegokolwiek innego. Freeride to ciągła pogoń za puchem i idealną linią zjazdu. Takie chwile pamięta się do końca życia.



Kasprowy Wierch, Tatry, Polska R: Weronika Kopka Fot. Piotr Śniński







# FIRST LIGHT HOODY

With Primaloft® Insulation Active, the quintessential insulation solution for high output, start-and-stop activities in cold weather where versatility, breathability and durability are key.

 **Black Diamond®**



Photography: Clark, Tobin  
BLACKDIAMONDEQUIPMENT.COM

## ALPY WIDZIANE ZZA BIURKA, CZYLI JAK PRACUJE SIĘ DLA BLACK DIAMOND AGNIESZKA GRABOWSKA



*Deszcz uporczywie zacina mi prosto w twarz. Przez głowę przebiega smutna myśl, że nie została na mnie już nawet sucha nitka. Mknę na moich dwóch kółkach wzdłuż rzeki Inn, mijam innych zawziętych rowerzystów, rolkarzy. Niespodziewanie zagapiam się i wpadam na jednego z nich. Szybko się zbieram i pędzę dalej. Poranna droga do pracy często dostarcza nie lada emocji. Witajcie w Innsbrucku, krainie powszechnego deszczu i górskiego bezkresu. Czas zacząć kolejny dzień w Black Diamond!*

### O BLAKU – O LUDZIACH – O PASJI

To nie przypadek, że tyrolski Innsbruck jest od niedawna europejską siedzibą Black Diamond, a zarazem moim miejscem pracy i placem zabaw. „Piaskownica” dla górskich miłośników natury i sportu, albo jak kto woli - szaleńców. Tak nazwałabym to miejsce, dla którego straciłam głowę już od pierwszego wejrzenia! Innsbruck to idealne miejsce do odkrywania górskiego świata. Tym lepiej jeśli odkrywa się go u boku znanej marki wspinaczkowo – narciarskiej oraz jej ludzi - ludzi pasji, nierzadko ekstremalnych, przesiąkniętych górami.

Do Black Diamond trafiłam chyba nie przez przypadek. Pamiętam to jak dziś. Kanada, minus 15°C. Z kilkunastoosobową grupą studentów uczelni kanadyjskiej wspinamy się w rejonie Marble Canion. Raki na nogach, dziaby w rękach (oczywiście

marki Black Diamond). Bez specjalnego przekonania i pewności siebie wspinam się po lodzie, a z dołu słyszę okrzyki wsparcia. Już wtedy w głowie świta mi pomysł dążenia do przygody, połączenia pracy i pasji. W moim przypadku wiąże się nieodłącznie z górami, na których ścieżce znalazłam Blacka.

Od początku współpracy z BD wiem, że chodzi tu głównie o ludzi. Ich osobowości, zainteresowania, życie codzienne. Jest nas 30 osób, w tym 13 różnych narodowości. Każdy jest różny, ale wszyscy równi i bez problemu znajdujemy przysłowiowy „wspólny język”. Dominuje oczywiście język angielski, ale na co dzień słychać też niemiecki, włoski czy francuski. Nikt nie chodzi pod krawatem, nikt nikogo nie pyta o plany zawodowe na najbliższą dekadę. Życie toczy się tempem widzianych zza okien biura górskich kształtów. Znam je już na pamięć, a to nie lada rozpusta! Jest zdrowy balans pomiędzy pracą, domem a pasją.



To dlatego Austria ma najwięcej w Europie dni wolnych od pracy - w piątki pracuje się do południa, a poniedziałek jest dniem opowieści o przygodach minionego weekendu. Tych nigdy nie brakuje, bo zachęcają do nich m.in. roczny bilet na tyrolskie kolejki górskie oraz motywacja i entuzjazm kolegów z pracy w ramach BD Sport Club. Codzienne obowiązki urozmaica pracowniczy grill z widokiem na słynne w Innsbruck pasmo Nordkette, zaś spotkania biznesowe organizowane są w górskiej chatce u podnóża miasta.

## INNSBRUCK – TU SIĘ NIE NUDZISZ

Najfajniejsze jest to, że najlepsze rzeczy są tu za darmo! Mam na myśli szczególnie miłośników wszelkich sportów outdoorowych, dla których możliwości są niezliczone, a czasu jak zwykle mało. Rozproszone po horyzont alpejskie szczyty, malownicze górskie doliny, ośnieżone stoki, woda i lodospady, dzikie szlaki, liczne polodowcowe jeziora, nieskończone kilometry rowerowych ścieżek i jeszcze więcej biegowych, ale przede wszystkim adrenalina i wiele niezapomnianych plenerowych wrażeń. Na darmo szukać wymówek – nie ma lenistwa!

Gdy tyrolski, nieprzewidywalny klimat pozwoli na aktywny dzień na świeżym powietrzu, wybieram wschód słońca widziany z wysokości 2 718 m. Aby zdobyć Serles - szczyt należący do Alp Stubaiskich, budzik nastawiam na 1.30 w nocy. Mój towarzysz trekkingu nie tryska entuzjazmem na samą myśl o nocnej przechadzce, jednak dzielnie trwa na podejściu. Oboje wdrapujemy się na szczyt, gdzie czeka na nas nagroda. Widok przytłacza. Spontaniczność popłaca. Przed nami, za nami i po bokach rozpościerają się alpejskie pasma górskie. Jest 5.34 rano. Zapiera dech. Napawamy się widokiem. Czas jednak schodzić, ponieważ od 8:00 praca. Alpy Stubaiskie można zdobywać na różne sposoby. My wybieramy i dzielnie realizujemy projekt Seven Summits, składający się z bardziej i mniej wymagających stubaiskich szczytów. Serles jest jednym z nich.

Wizytówką Innsbrucka jest Nordkette – pasmo górskie wznoszące się tuż nad miastem. Wspaniałe widoki rozpościerają się już po 20 minutach jazdy kolejką, do której zimą wsiadają w centrum miasta przygotowani do jazdy w puchu narciarze. Latem Nordkette oferuje tym bardziej ekstremalnym miłośnikom górskich wrażeń 5-godzinna „żelazną drogę”, z której niezapomniany jest widok na przełęcz Brenner i latające nad miastem szybowce.

Oprócz typowo miejskich atrakcji, Innsbruck ma też dużo do zaoferowania na swoich obrzeżach. Moimi ulubionymi są skałki wspinaczkowe w Zirl (bez podejścia, ściana czeka na nas przy samej trasie), via ferrata Kaiser Max, klasyfikowana na trudność D+, jedna z najbardziej wymagających w regionie, czy wjazd rowerowy na Patscherkofel – drugie po Nordkette wyróżniające się pasmo nad miastem. Wartym odwiedzenia jest też luksusowe miasteczko Seefeld, będące ośrodkiem sportów zimowych.

## JEDNĄ NOGĄ WE WŁOSZECH

Wracając na chwilę do pogody - choć deszcz trwa przy mnie wiernie na tyle często, że mam wrażenie, że już nigdy nie odpu-

ści, to znajduję sposób, by go zmylić. Jadę szukać wrażeń po włoskiej stronie gór! Via ferraty, gelato czy inne włoskie przysmaki są na wyciągnięcie ręki. Innsbruck z przełęczą Brenner, a zarazem włoską granicą dzieli niecałe pół godziny. Tam czekają na nas nie lada atrakcje: od rowerów szosowych w okolicach Pietramuraty, po te górskie w Lago di Garda, wspinaczkę skałkową w słynnym Arco, czy 5-godzinna via ferrata Che Guevara, wyrastająca ponad malownicze winorośla. Wśród miejsc, do których lubię wracać jest Brenta, pasmo Alp Wschodnich, z górującą Cima Tosa i schroniskiem górskim Rifugio Agostini. Ostatnio poznanym przeze mnie diamentem jest Sella, uwielbiona przez wspinaczy i słynna dzięki swej trasie narciarskiej Sella - Ronda. Do odkrycia pozostaje tu jeszcze wiele, wiele nieznanych mi diamentów!



Via Ferrata



Serles, Innsbruck



Rejon Arco, Lago Di Garda





Tej zimy z PKLpass otrzymasz 10%  
zniżki przy zakupie skipassu  
na wybrany ośrodek PKL\*

PKLpass to personalizowana karta do zakupów skipassów  
w ośrodkach grupy PKL. Kartę możesz doładować online  
lub w skipassomatach, bez stania w kolejce.  
Dzięki temu ruszysz prosto na stok.

Rabaty otrzymasz tylko po zarejestrowaniu  
PKLpass w sklepie online na [www.pkl.pl](http://www.pkl.pl)

Pobierz aplikację PKLpass by obserwować warunki narciarskie  
i pogodowe w ośrodkach PKL, podglądać kamery live, sprawdzać  
promocje i ceny skipassów oraz doładowywać kartę.

**pkl.pl**



# PKLpass

***Tvoja wygodna karta***



Oszczędzasz  
czas



Kupujesz  
online na  
[www.pkl.pl](http://www.pkl.pl)



Korzystasz  
z rabatów



Nie stoisz  
w kolejce  
do kasy



Prosto  
z parkingu  
ruszasz na trasę



# PKLpass- masa przywilejów dla fanów zimowego szaleństwa

Kolejne miesiące podobno mają zwiastować powrót epoki lodowcowej. Zapowiadana długa i śnieżna zima działa motywująco nie tylko na wielbicieli sportów zimowych. Do sezonu intensywnie przygotowują się Polskie Koleje Linowe. Z myślą o coraz większej liczbie klientów chcących skorzystać z czynnych zimą kolei, PKL ma dla swoich fanów wyjątkowo korzystną ofertę.



## Poczuj się jak VIP

Tej zimy nie będziemy musieli stać w długich kolejkach do kas w oczekiwaniu na zakup karnetu narciarskiego. Będziemy mogli za to skorzystać z rabatu na PKLpass i zniżek w punktach gastronomicznych. Jako pierwsi będziemy informowani o warunkach na stokach, nadchodzących wydarzeniach i superofertach. Będziemy mieć szansę wcielić się w prawdziwego zawodnika, pokonując slalom z pomiarem czasu. A Ci ambitniejsi będą mogli ścigać się ze swoimi znajomymi i porównywać wyniki za pomocą aplikacji online. Do wyboru będziemy mieć 6 ośrodków, 20 kilometrów tras narciarskich, 12 kilometrów nartostrad i niezliczoną ilość korzyści. Kuszące, prawda?

## Jak skorzystać z wszystkich przywilejów

Nic prostszego! Wystarczy zachować kartę przy pierwszym zakupie SKIpassu i zarejestrować ją online. Kilka kliknięć na stronie PKL i już! Od tej pory karta będzie Ci służyć jako karnet oraz przepustka na specjalne oferty. Dlatego nie zapomnij jej ze sobą zabrać w miejsce, gdzie obowiązuje dana promocja!

## UWAGA! SPECJALNA PROMOCJA JUŻ DZIŚ!

PKL zapowiada szereg atrakcyjnych ofert powiązanych z PKLpassem. Na dobry start rozdaje 10% rabatu na zakup każdego skipassu. Promocja obejmuje wszystkie ośrodki PKL i będzie trwać do odwołania.

## Wyjątkowo łatwa obsługa

PKLpass, obok dostępu do wielu promocji, to przede wszystkim komfort zakupów i obsługi. Szczęśliwy posiadacz karty może dokonywać zakupów online bez konieczności wyczekiwania w kolejce. A jeśli z jakiejś przyczyny nie będzie mógł wykorzystać zakupionego na PKLpass wybranego SKIpassu, może go bezkosztowo zwrócić, nawet po wygaśnięciu daty ważności karnetu.\*

## Jak zdobyć PKL PASS

Kartę można nabyć na kilka sposobów. W tradycyjny sposób - przy kasie PKL, w skipassomacie PKL, Biurze Obsługi Klienta PKL oraz online, na stronie [www.pkl.pl](http://www.pkl.pl). Nie zapomnij zarejestrować karty - tylko dzięki temu będziesz mieć dostęp do rabatów i ofert specjalnych.

\*Nie dotyczy Kasprowego Wierchu





## WALKABOUT. ROWEREM PRZEZ CANNING STOCK ROUTE MATEUSZ WALIGÓRA

*Może byłoby łatwiej, gdybym nie wiedział, w co się pakuję? Niestety wiem. Już drugi raz jestem w Australii Zachodniej. Ze mną wielki karton, trochę rzeczy i dużo jedzenia.*

*— Że co? Canning? Na rowerze? — Kierowca autobusu, który ma mnie dowieźć do Halls Creek, jest przekonany, że stoję sobie z niego żarty.*

*— Masz jaja mate! — dodał, wrzucając mój rower do luku.*

*— Ile płacę za rower? — zapytałem.*

*— Stary, masz jaja tak wielkie, że powinieneś zapłacić za dodatkowe siedzenie, a nie rower. Wskakuj do środka i o nic się nie martw!*

*On też wie, co mnie czeka. Może wcale nie chodzi o przerośnięte genitalia tylko o tę odrobinę szaleństwa? A może, pisząc dosadniej, o cały idiotyzm moich zamiarów?*



## LEGENDARNA DROGA

Canning Stock Route. Droga legenda dla wszystkich Australijczyków podróżujących przez outback. Przejechanie jej samochodem terenowym uchodzi za wyczyn. Przebycie jej rowerem zdaje się przekraczać granice wyobraźni. Szlak wytyczony przez Alfreda Canninga i jego drużynę na początku XX wieku miał złamać monopol zachodniej części Kimberley na transport wołowy drogą morską do Perth. W tym celu pośrodku australijskiego interioru wytyczono i zbudowano 51 studni, znajdujących się od siebie w odległości 1 – 2 dni pieszej wędrówki. Niestety, tam, gdzie coraz większą rolę odgrywają pieniądze, niemal proporcjonalnie traci moralność. Canning, by znaleźć źródła wody, wykorzystywał Aborygenów. Skuci łańcuchami i karmieni słonym mięsem prowadzili do celu jak po sznurku. Nikt nie znał tych terenów lepiej od nich. Utrwalane w „pieśniach stworzenia” mapy przekazywane z pokolenia na pokolenie okazywały się niezawodne. Bo Aborygeni potrafią sobie drogę „wyspiewać”. Przepędu bydła dokonano zaledwie kilka razy. Warunki klimatyczne okazały się mordercze. Dosłownie.

Przedemną ponad 1800 km drogi prowadzącej przez święte tereny Aborygenów, pustynie: Tanami, Wielką Pustynię Piaszczystą, Małą Pustynię Piaszczystą i Gibsona. Na całej długości szlaku znajduje się zamieszkiwana przez kilkunastu Aborygenów osada Kunawarritji. Nic więcej. Z historycznych 51 studni woda znajduje się w zaledwie w kilku. Trudności? Corrugations — na samą myśl o nich robi mi się słabo. W języku polskim nie ma dobrego słowa, które oddaje istotę problemu. Chodzi o „tarkę”, w jaką przekształciła się droga eksploatowana przez samochody 4x4. Najłatwiej jest zwizualizować to sobie poprzez wyobrażenie rowerzysty jadącego przez niemal 2 tysiące kilometrów blachy falistej, którą kryje się dachy. Auć...! Corrugations mają na swoim koncie złamaną niejedną oś i dziesiątki samochodowych amortyzatorów. Nie mniejszym wyzwaniem są piaszczyste wydmy, sięgające swą wysokością nawet 30 metrów! Jest ich ponad... dziewięćset. Trudności można mnożyć: niewiele wody, upały sięgające 50 stopni Celsjusza, ostra jak igły trawa spinifex, która porasta wszystko wokół, łącznie z drogą. Jednak największym zmartwieniem wydaje się być dla mnie samotność i jedynie iluzoryczna szansa jakiegokolwiek ratunku, jeśli „COŚ pójdzie nie tak”. Australia Zachodnia ma powierzchnię osiem razy większą niż Polska. Zamieszkiwana jest przez niecałe 2 miliony ludzi. Gdyby stanowiła oddzielne państwo, pod względem powierzchni zajmowałaby dziewiąte miejsce na świecie, pod względem zaludnienia... ostatnie. Słowem — to jedno z najbardziej odludnych miejsc na Ziemi, a sam CSR swoją izolacją i brakiem efektywnej drogi ewakuacyjnej zdaje się być prawdziwym rowerym Everestem. Napisałem Everestem? Na tę górę weszło już ponad cztery tysiące ludzi. Gdy w ubiegłym roku podjęliśmy razem z Agnieszką próbę przejechania Canninga, na świecie żyło zaledwie 3 rowerzystów, którym udało się ta sztuka. Próbowало wielu — tylko w tym roku dziewięciu!

## BEZ WSPARCIA Z ZEWNĄTRZ

Jak to w ogóle możliwe, by poruszać się rowerem w takim terenie? Rozwiązaniem są coraz popularniejsze „fatbajki” wyposażo-

ne w szerokie, niskociśnieniowe opony. Te, w które zaopatrzony jest mój Surly, mają szerokość 4 cali — to dwa razy więcej niż klasyczna opona w rowerze górskim. Dodatkowo wykorzystuję jednokołową przyczepę Extrawheel — prototyp przygotowany specjalnie dla mnie, dzięki niej mogę transportować znaczne ilości wody, rozkładając równomiernie ciężar bagażu, nie obciążając przy tym nadmiernie tylnego koła. Szlak przemierzam bez wsparcia samochodu terenowego, a to oznacza, że całość jedzenia oszacowanego na 40 dni transportuję ze sobą, wodę czerpię ze studni, a jedyną łączność ze światem zapewnia mi telefon satelitarny, który wraz z resztą elektroniki zasilany jest za pomocą panelu solarnego. Słowem — jestem (przynajmniej pozornie) samowystarczalny i jednocześnie zdany tylko na siebie. Przejazd rowerem przez Canning Stock Route wymaga perfekcyjnego przygotowania ekwipunku — moje życie zależy od jego bezawaryjności.

Kluczowa okazuje się waga — jeśli rower będzie ważył zbyt dużo — ugrzęzniesz w piachu, jeśli zabierzesz zbyt mało jedzenia — nie przejedziesz szlaku. Logistyka zdaje się przekraczać granice absurdu. Mam ze sobą jednokilogramowy namiot, ciepły puchowy śpiwór, filtr do wody, minimalną ilość odzieży i australijski garnek billy, dzięki któremu posiłki przygotowuję na ognisku. Jedzenie waży 24 kilogramy i składa się głównie z liofilizatów, 3 kg masła orzechowego i nutelli oraz 3,5 kg batoników muesli. Worki na wodę pozwalają mi na transport 40 litrów wody, ale szlak weryfikuje te wartości — nie jestem w stanie transportować więcej niż 30. Jeśli dorzucę 5 więcej, jazda staje się niemożliwa. Części zapasowe? Jedna dętka i kilka podstawowych narzędzi. Jeśli przydarzy mi się poważna awaria, to... to nie wiem co. Staram się odsuwać te myśli jak najdalej od siebie. Zachować choć minimalną granicę psychicznego komfortu. Jestem przygotowany najlepiej, jak potrafię. Nic więcej nie mogę zrobić.

## W PUŁAPCE

Od paniki dzieli mnie już naprawdę symboliczna granica. Nie mogę jej przekroczyć. Za wszelką cenę. Mam za sobą pierwsze 550 kilometrów. Nie ruszę się jednak dalej, bo drogę w okolicy studni numer 42 odcina mi pożar buszu. Dym na horyzoncie widziałem już od kilku dni. Sytuacja wygląda naprawdę kiepsko — za plecami mam stare, wyschnięte koryto jeziora, porośnięte trawą, jeśli ogień do niego dotrze, zostanie mi jedna, góra dwie godziny. Zatrzymuję się w całkowicie spalonym terenie, który w teorii zapewnia mi bezpieczeństwo. Próbuje, zachowując pozory spokoju, oszacować swoje położenie. Mam ogień za sobą, ale co gorsza, przecina mi też dalszą drogę, prowadzącą do studni numer 41, w której znajduje się woda. To jakieś 70 kilometrów piaszczystych wydmy. W bukłaku mam kilka litrów. Ogień jest naprawdę blisko — widzę go ze szczytu najbliższej wydmy. Wiatr mi jednak sprzyja, a nocne temperatury spadające do +4 stopni powinny wszystko wyciszyć. Nie jest źle!

— Hej, mate, to wygląda naprawdę kiepsko, chyba musimy ewakuować cię śmigłowcem — policjant z Halls Creek, najbliższej cywilizacji, wyprowadza mnie z błędu.

Wiem, że moje ubezpieczenie pokrywa koszty akcji ratunkowej wykorzystującej śmigłowiec, ale wolę potwierdzić to w Polsce.

Niestety — mój przypadek nie kwalifikuje się jako „emergency”. Niemal natychmiast podejmuję decyzję. Na chłodno, bez większych emocji — złamię sobie rękę.

— No worries mate, nie rób tego! Przylecimy po ciebie nieodpłatnie. Naszym celem jest uratować twoje życie. — Słyszę w kolejnej rozmowie z policjantem.

Czuję olbrzymią ulgę. Ale — zaraz, zaraz:

— A co z moim rowerem? — pytam.

— Nie mogę ci obiecać, że zabierzemy go razem z tobą.

— No to muszę jechać dalej!

Kolejne godziny staram się przeleżeć w cieniu, jedynie od czasu do czasu pijąc łyk wody. W nocy wstaję co półtorej godziny, by wyjść na wydmy i kontrolować sytuację. Tuż po wschodzie słońca zwijam moskitierę namiotu i z nasączoną wodą chustką zaciągniętą na ustach i nosie powoli przemierzam pogorzelsko. Widok jest naprawdę upiorny — mijam spalone fragmenty wielbłądów i innych zwierząt, których nawet nie potrafię zidentyfikować. Po kilkudziesięciu kilometrach spotykam samochód terenowy — dostaję kilka litrów wody, która pozwoli mi dotrzeć do kolejnej studni. Udało się. Jestem uratowany.

Na ironię zakrawa fakt, iż ubiegłoroczna próba zakończyła się niepowodzeniem ze względu na niespotykane o tej porze roku deszcze, które uwięziły Agę i mnie przy jednej ze studni na kilka dobrych dni. „This is Australia” — jak mawiają kierowcy.

## ZNISZCZ GRANICE WYOBRAŹNI!

Rower spisuje się naprawdę dobrze. Nie licząc wyrwanego wentyla i pękniętego siodła, niemal nie mam awarii. Niestety, fatalnej jakości woda trwale uszkadza filtr do wody, już do końca drogi jestem skazany na to, co znajduję w studniach — ratuję się przelewaniem wody przez wełnianą chustkę, ale to daje efekt głównie psychologiczny. Jest naprawdę gorąco — zegarek wskazuje temperaturę +49 stopni Celsjusza. W cieniu! Odczuwam olbrzymie pragnienie — w ciągu trzech dni wypijam 36 litrów wody. Mój organizm nie przyjmuje natomiast jedzenia, woli zjadać sam siebie. Najtrudniej jest w południe, gdy rozgrzany piasek staje się tak sypki, że nie udaje mi się podejść pod wydmy. Schodzę z siodła i wpycham rower siłą całego ciała. Gdy na szczycie jednej z nich widzę setki kolejnych — po horyzont, nie wytrzymuję. Zaczynam płakać. Jak dziecko. Czuję, że nie mam siły, by pokonywać kolejne. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym tego dokonać — wyjście jest tylko jedno: ZNISZCZYĆ GRANICE WYOBRAŹNI. Konsekwentnie, siłą woli pokonuję kolejne kilometry i dni. Noce — tylko one przynoszą ukojenie, gdy zasypiam okry-

ty moskitierą, otulony kołdrą z gwiazd i Drogi Mlecznej południowej półkuli.

## WALKABOUT

Walkabout to czas, gdy młodzi Aborygeni, podążając zgodnie z pradawnymi „pieśniami stworzenia”, uczą się samodzielnego życia w buszu. Czuję, że wszystko, czego nauczyłem się dotychczas w życiu — całą wiedzę o przetrwaniu, geografii, ale przede wszystkim swoim ciele i psychice — wykorzystuję właśnie teraz, w trakcie rowerowego trawersu Canning Stock Route. Czuję, że to mój walkabout. Nawiguję jedynie w trochę inny sposób — przez pustynię bezbłędnie wiedzie mnie GPS wyprodukowany przez Garmin, w meandrach psychiki prowadzi ewangelia spisana przez św. Łukasza.

Szlak na południe od studni 21 robi się nieco łatwiejszy, wydmy Małej Pustyni Piaszczystej są nieco niższe, a droga coraz częściej prowadzi przez rozległe wyschnięte słone jeziora. Pierwszy raz czuję, że ta karkołomna wyprawa może zakończyć się powodzeniem. Przez kilka kolejnych dni nie spotykam żadnego człowieka. Tylko dzikie psy dingo, wielbłądy (sprowadzone do Australii przez Canninga) oraz kilka jadowitych węży. Przyzwyczailem się już do samotności. Nawet gdy spotykam samochody 4x4, czuję się osamotniony. Szczęśliwie towarzyszą mi SMS-y wysyłane przez Agę. To wszystko, co mam. Nie lubię rozmawiać — najlepiej odnajduję się w ciszy. A ta pośrodku australijskiego buszu zdaje się absolutna. To w niej rodzą się pytania, których człowiek nie zadaje sobie na co dzień. Bo nie ma czasu, a może odwagi. Pozbawiony wszelkich bodźców i informacyjnego szumu zastanawiam się nad tym, czy w życiu robiłbym to samo, gdyby nie istniały pieniądze. Niestety, nie wszystkie odpowiedzi są jednoznaczne. Najtrudniejsze pytanie dotyczy tego, co właśnie robię. Czy kilkudziesięciodniowe rozstanie z żoną i nowo narodzonym dzieckiem nie jest zbyt wysoką ceną, jaką przychodzi mi płacić za swoje wybory? I czy rowerowy trawers Canning Stock Route jest tak naprawdę tego wart?

Po 29 dniach i pokonaniu 1886 kilometrów docieram do celu — niewielkiej miejscowości Wiluna. Lżejszy o ponad 16 kilogramów wagi. Czuję ulgę. Udało się — zrobiłem to. Przejechałem rowerem jedną z najtrudniejszych i najbardziej odizolowanych dróg na świecie. Przetrwałem mordercze upały, pożary buszu, piaszczyste wydmy i spotkania z jadowitymi węzami. Czy z tym bagażem doświadczeń przetrwam w cywilizacyjnym buszu? Rozpocznę nowy walkabout.



Fot. arch. M. Waligóra



Fot. arch. M. Waligóra





 **Hydro Flask®**



LIFE REFRESHED



## TICKET TO THE MOON - PRACA W RAJU WYWIAD

*Charles-Antoine Descotis to 50-letni francuz, pomysłodawca, założyciel i twórca hamaków campingowych marki Ticket To The Moon. Firma powstała na Bali w 1996 roku.*

*Charles-Antoine przez kilka lat kursował między Indiami a Tajlandią, aż w końcu w 1996 r. postanowił zrobić sobie krótki przystanek na Bali. Przystanek okazał się nieco dłuższy, niż początkowo zakładano. Charles pozostał na Bali już na zawsze. To właśnie tam założył od podstaw firmę produkującą hamaki. Firmę, w której obecnie pracuje około 160 osób. Hamaki są dostępne w niemal 40 krajach na świecie, a marka Ticket To The Moon jest absolutnym liderem w swojej dziedzinie! Po kilku latach istnienia Charles-Antoine założył także fundację: Ticket To The Moon Foundation.*

*Można stwierdzić, że produkty Ticket To The Moon są wytwarzane w stanie utopii, ale korzysta z nich każdy i wszędzie. Głównym rynkiem zbytu jest Europa, jednak Stany Zjednoczone, mimo że są znacznie trudniejszym rynkiem, również zaprzyjaźniły się z TTTM. „Konkurencja nie pozostawiła nam zbyt wiele miejsca. Ponadto Amerykanie nie chcą współpracować z markami pochodzącymi z innych kontynentów, zwłaszcza z firmami zarządzanymi przez Francuzów... Kupili od nas kilka hamaków. Doskonale zapoznali się z naszym produktem. Zanim zdążyliśmy rozpocząć ofensywne działania marketingowe, oni byli już w trakcie produkowania tańszego zamiennika. Ja nie mogę prawnie opatentować hamaków TTTM, aby chronić je przed tańszymi odpowiednikami. Bez wsparcia ze strony Francji i przy ograniczonych zasobach finansowych rozwój mojej firmy byłby niemożliwy.” Jednak nawet z tak małymi udziałami w amerykańskim rynku, firma w chwili obecnej ma roczny dochód sięgający 2 mln dolarów.*

*Ticket To The Moon jest w 100% lokalnym produktem. Fabryka znajduje się na Bali, zatrudnia ponad 160 pracowników na pełny etat „w optymalnych warunkach pracy” – podkreśla Charles-Antoine. Od 20 lat firma odnotowuje wzrost udziałów w rynku, zwiększając swoje roczne obroty stale o ok. 25-30%. Produkt spotyka się z istnym szaleństwem. „My odpowiedzieliśmy tylko na potrzeby społeczeństwa, jednak były one tak duże, że nie mamy potrzeby poszukiwać w chwili obecnej klientów na innych rynkach” mówi Charles-Antoine. Charles-Antoine wraca do Europy każdego lata, jednak jak sam twierdzi, to właśnie na Bali jest „jego dom, praca, rodzina, najbliżsi, życie”. Wyspa szybko go zaadoptowała, z wzajemnością z jego strony.*





Fot. Ticket To The Moon



Fot. Ticket To The Moon

**Pytanie:** Z Francji na Bali, skąd wziął się pomysł stworzenia hamaków z powłoką spadochronową?

**Charles-Antoine:** Od dzieciństwa głęboko interesowałem się hamakami. W Indiach zacząłem produkować hamaki z poliestru, ale szybko doszedłem do wniosku, że nie jest to idealny materiał. Produkcję hamaków w Indiach traktowałem bardziej jak swoją pasję, dopiero na Bali miałem możliwość rozwinięcia dochodowego biznesu.

**P:** Prowadzisz firmę w bardzo etyczny sposób oraz podchodząc do personelu, tak jak robi się to na zachodzie. Dlaczego jest to tak ważna kwestia dla Ciebie?

**CA:** To zasady, których nauczyłem się we Francji, gdzie dorastałem. Staram się to w jak największym stopniu wykorzystywać w swoim biznesie! Moim zdaniem wartości społeczne we Francji są bardzo cenione i chcę odtwarzać ten model w jak największym stopniu w moim biznesie w Indonezji. Moi pracownicy bardzo to doceniają. W firmie rozwijają się unikalne więzi społeczne. Nie sprzedaję hamaków tylko po to, aby zarabiać pieniądze. Zawsze chciałem robić wszystko zgodnie z moimi wartościami moralnymi i etycznymi. Teraz tak właśnie działam. Dobre warunki pracy nie są oczywiste dla wszystkich firm w Indonezji, ale ja nie chciałem przystosowywać się do zasad pracy panujących w Indonezji. Wydaje mi się, że zasady panujące u mnie w

firmie są korzystne zarówno dla pracowników, jak i dla mnie.

**P:** Niektórzy pracownicy są z Tobą od początku istnienia firmy.

**CA:** Prawie wszyscy pracownicy, którzy zaczęli pracować w firmie wraz z początkiem jej istnienia, pracują tu do teraz. Nikt nigdy nie został stąd zwolniony, nawet kiedy firma miała problemy. Kiedyś zaprosiłem do nas czarodzieja (jest to powszechna praktyka w kulturze indonezyjskiej), który miał za zadanie wyeliminować wszystkie złe moce z naszej firmy. Następnego dnia na moim biurku znalazły się trzy wypowiedzenia.

**P:** W 2009 zdecydowałeś się założyć fundację. Co Cię do tego skłoniło?

**CA:** Początkowo hamaki spadochronowe były produkowane tylko dla mnie i moich znajomych, aby ułatwić nam podróże. Przez lata Ticket To The Moon przekształciło się w prawdziwe przedsiębiorstwo ze stale rosnącymi dochodami. Chciałem więc nadać sens temu rozwojowi, nie zadowalało mnie jedynie zarabianie coraz większych pieniędzy. Postanowiłem w pewnym sensie zwrócić to, co zostało mi wcześniej zaoferowane. Kocham Indonezję, kocham Sumbę! Są to miejsca, które mają realne potrzeby, a motywacją jest dla mnie to, że z małym budżetem i przy wzajemnej współpracy, można osiągnąć tam wielkie rzeczy!



Fot. Ticket To The Moon



Fot. Ticket To The Moon

**P:** Twoja fundacja wspiera plemię Kodi na wyspie Sumba, jakie ma to znaczenie dla Ciebie?

**CA:** Sumba jest piękną, dużą wyspą. Jest niemal dwa razy większa niż Bali, jednak jest kompletnie zapomniana turystycznie i ekonomicznie: nie ma tam żadnych szlaków handlowych, a plemiona mieszkające tam, nie zmieniły swojego trybu życia od tysięcy lat! Ponadto plemię Kodi jest najbardziej dzikim plemieniem zamieszkującym wyspę. Jestem pewien, że byłem pierwszą osobą z Zachodu, która spotkała się z nimi, chciała pomóc dzieciom poprzez dostarczenie witamin, moskitier, prowadzenie projekcji o malarii, czy wdrożenie systemu umożliwiającego dostęp do wody. Czy pomoc humanitarna Indonezji ma dla mnie sens? Nie zadaję sobie takich pytań od kiedy mam na to pieniądze! Wszystko wtedy staje się łatwiejsze!

**P:** Wydawać by się mogło, że siła Sumbi ciągle rośnie. Nie jest ona już anonimową wyspą. Nie boisz się, że pewnego dnia turystyka oszpeci tę wyspę?

**CA:** Staram się jak najbardziej unikać turystyki. Sumba jest jedną z nielicznych wysp chrześcijańskich. Dzięki temu jest

to miejsce atrakcyjne dla zagranicznych inwestorów, ale nie jest jeszcze gotowe na przyjęcie turystów. Mam nadzieję, że pozostanie tak jeszcze przez długie lata, gdyż turystyka może działać destrukcyjnie, kiedy jest źle zarządzana.

**P:** Jak widzisz przyszłość? Jakie są perspektywy rozwoju i ewolucji twoim zdaniem?

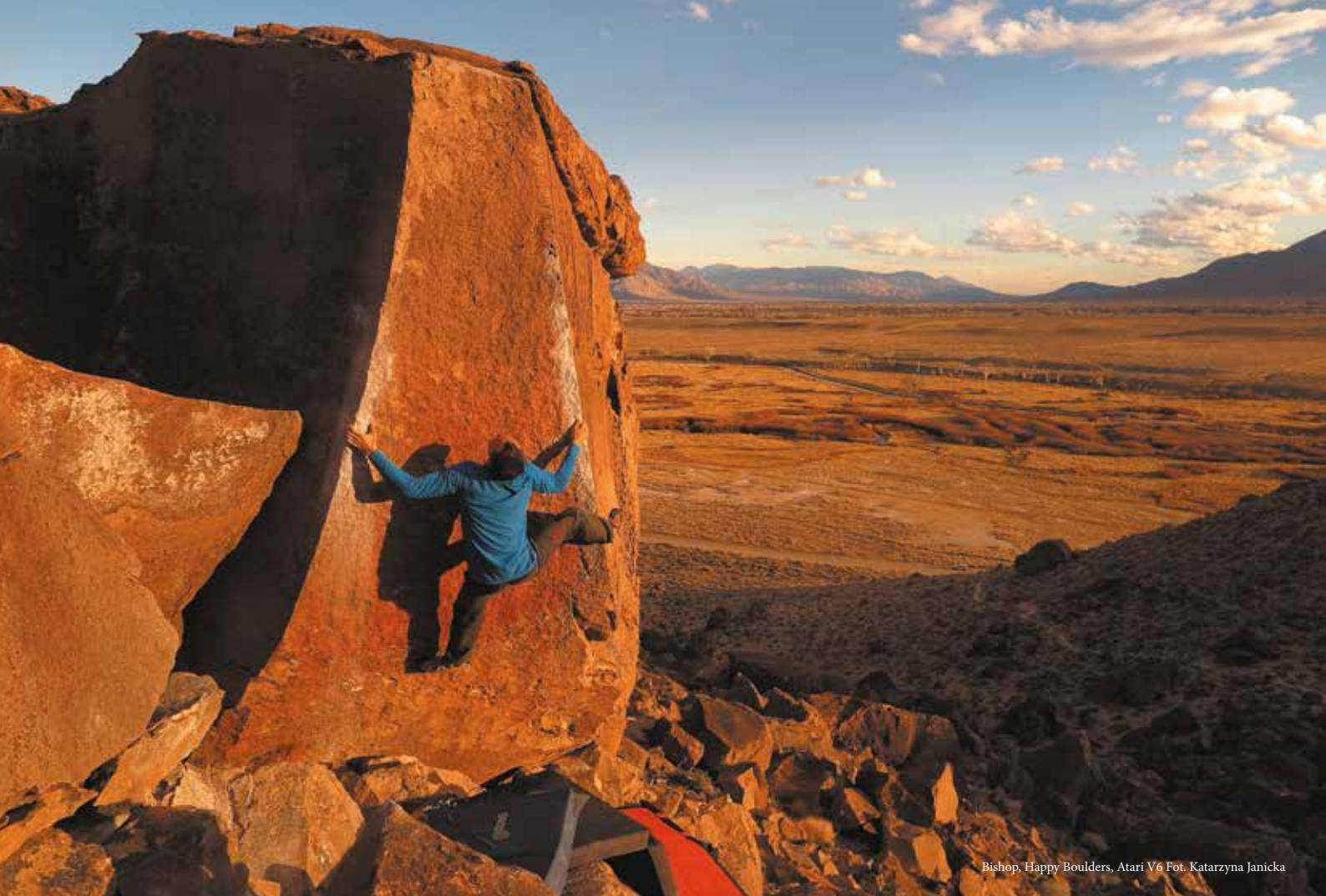
**CA:** Możliwości rozwoju są ogromne. Rynek outdoorowo-wypoczynkowy wciąż się rozwija. Hamaki spadochronowe są świetną alternatywą dla dotychczasowych akcesoriów campingowych: są lżejsze, łatwiejsze w obsłudze i bardziej przyjazne dla środowiska. To właśnie zrewolucjonizowało rynek! Nasz sukces zawdzięczamy również panującemu obecnie kryzysowi finansowemu na świecie. Ludzie coraz częściej rezygnują z noclegów w hotelach czy domkach, głównie ze względów finansowych, ale nie tylko. Próbują również nawiązać bliski kontakt z naturą, szukają spokoju i prostoty, a przede wszystkim chcą odpocząć od życia codziennego w zgiełku miasta.











Bishop, Happy Boulders, Atari V6 Fot. Katarzyna Janicka

## WSPINACZE W USA

KASIA JANICKA I PIOTR BUNSCH

Pisząc o podróży tak długiej, ciężko cokolwiek wybrać i opisać na dwóch stronach. Jeżeli zacząłbym chociażby wymieniać odwiedzone miejsca, nie starczyłoby kartek. Nie mówiąc już o ludziach, przeżyciach, doświadczeniach, widokach i oczywiście najważniejszej – wspinaczce.

Od naszego powrotu ze Stanów minęło sporo czasu. Opowiadaliśmy o USA i przygodach już wiele razy, raczej nie nudząc innych, a na pewno nie samych siebie. Po czterech miesiącach nieustających, codziennych zmian i ciekawych przygód, w głowie pozostaje wiele do powiedzenia. Nie stało się nic nadzwyczajnego i nie zrobiliśmy czegoś nad wymiar niepospolitego. Ubraliśmy dość standardowy pomysł na Road Tripa w swój własny styl, przy użyciu dostępnych środków. Okazało się, że środków mieliśmy i nabyliśmy całkiem sporo. Mniej ważne, aczkolwiek konieczne – materialne i bardziej wartościowe: doświadczenie, znajomi, rodzina i świeżo napotkani życzliwi ludzie.

Pomysł na wyjazd zrodził się parę lat wcześniej. Pewnie po obejrzeniu jakiegoś romantycznego filmu z amerykańskim samochodem, rozwianymi włosami, mapą i muzyką. Dzień wyjazdu, z przyczyn zawodowych i studenckich, przypadł na połowę października. Mieliśmy nieograniczony czas i brak sprecy-

zowanych planów. Kupiliśmy bilety powrotne na połowę lutego, bo były tanie. Dopiero po zakupie zorientowaliśmy się, że wyszło z tego cztery miesiące. Czekaliśmy więc dwie pory roku w USA - krótka jesień i długa zima. Na szczęście Ameryka jest wielka, więc trzymając się południa i pustyń, można nawet w zimie znaleźć trochę lata.

Dobra karma wakacji zaczęła się jeszcze przed wyjazdem. Nasz kolega, któremu kiedyś pomogliśmy w Hiszpanii zaoferował nam swoje auto z całym pakietem startowym (łóżko, kuchnia, sprzęt, narzędzia, karta kredytowa). Małutka Toyota VAN z 1987 roku służyła nam wymiennie na pustynnych bezdrożach i zaśnieżonych przełęczach. Przejechała bez większych awarii 16 tysięcy kilometrów i chroniła przed zwierzyną, deszczem i zimnem przez niezliczoną ilość nocy.

Podczas tak długo trwających wakacji, każdy zaoszczędzony dolar robi różnicę. Wydając dziennie dodatkowe dwa dolary, o co w zachodnim świecie nie ciężko, trzeba dołożyć do budżetu tysiąka. Chcąc codziennie spać w najtańszych motelach, dwadzieścia tysięcy pochłona same noclegi. Nie było innej możliwości niż mocne oszczędzanie, choć nieraz popuszczaliśmy pasa,





Hot Springs, California



Gooseheads State Park, Utah



Droga do Grand Canyon



Snake Dike, Yosemite Valley

placąc głównie za atrakcje turystyczne i dobre jedzenie. Przy tak długim wyjeździe podczas planowania wydatków fakt, że normalne życie w domu (Krakowie) też kosztuje, zaczyna mieć duże znaczenie. Mieliśmy możliwość odcięcia się całkowicie od kosztów stałych. Pieniądże w ten sposób 'zaoszczędzone' mogą wystarczyć na wiele. Zamiast nie pracować i siedzieć beczynnie w domu, można spakować walizki, wynająć swoje mieszkanie i ruszyć w podróż dookoła świata. Okazuje się, że wcale nie wydamy wiele więcej pieniędzy. Mimo usilnych starań przepuściliśmy w USA równowartość całkiem ładnego nowego samochodu. Głównie dlatego, że nie mogliśmy usiedzieć zbyt długo w jednym miejscu, a kraj ten jest taki ogromny.

Odwiedziliśmy dwadzieścia jeden stanów.

Przejechaliśmy samochodami dwadzieścia cztery tysiące kilometrów. Pierwotnie zaplanowaną trasę przyspieszyliśmy trzema lotami, tym samym oszczędzając sobie kolejne dziesięć tysięcy kilometrów po lądzie. Odwiedziliśmy oba wybrzeża, a z uwagi na zimową porę, głównie na południu. Czuliśmy się nieraz jak bezdomni bez grosza przy duszy. Śpiąc w różnych dziwnych miejscach i łapiąc się na przesadnym oszczędzaniu. Zakosztowaliśmy także amerykańskiego komfortu i sielankowej rodzinnej atmosfery.

Zapłaciliśmy za piętnaście ze stu dwudziestu siedmiu noclegów. Sto piętnaście darmowych nocy spędziliśmy w różnych warunkach i przeróżnych miejscach. Najwięcej w naszej Toyocie. Często totalnie odosobnieni, innym razem odgrodzeni od świata ludzi jedynie karoserią.

Jednym razem w cieple na pustyni, a innym razem zasypani śniegiem w środku lasu. Spędziliśmy wspólnie niezliczoną ilość czasu na trzech metrach kwadratowych naszego podróżnego samochodu. Nie była to nasza pierwsza tego typu podróż, ale najdłuższa i najbardziej intensywna. Na takiej wycieczce trzeba bardzo dobrze się dogadywać, bo kiedy małżeństwo jest nieudane, to długa podróż może skończyć się burzliwym rozwodem. Mieliśmy oczywiście okresy milczenia i liczne starcia, ale oboje bardzo miło wspominamy amerykańskie wakacje, podobnie zresztą jak inne, wspólnie spędzone w życiu chwile.

Potyczki partnerskie rozgrywały się kilka razy o wizyty w zbyt (w moim mniemaniu) turystycznych miejscach. Turystka w USA to ogro-

mny przemysł. Ludzi można spotkać wszędzie i często jest ich za dużo. Psuje to doznania i denerwuje. Podróżowaliśmy w martwym sezonie, co sugerowałoby mniejsze obłożenie miejsc turystycznych, a bywało z tym różnie. O ile możliwe jest ominięcie tłumów, to ciężko nie zapłacić za wstęp. Moje próby manifestu przeciwko płatnej, masowej turystyce zawsze jednak kończyły się podobnie. Zgodziłem się na przesadnie turystyczną wizytę w kanionie Antelope i zobaczyłem najciekawsze formy skalne w życiu. Szkoda, że nie można się tam wspinać. Dałem się przekonać na nietani wjazd na szczyt Empire State Building i poczułem się jak super bohater latający podczas zachodu słońca po Manhattanie. Odwiedziliśmy wiele turystycznych destynacji podczas naszej wycieczki i nie żałujemy. Większość tych miejsc stało się turystyczne z jakiegoś powodu i mimo nieraz odpychającej ilości zwiedzających, po prostu warto je odwiedzić. Warto zachować oczywiście pewien balans i przeznaczyć również czas na mniej popularne przygody.

W dzisiejszych czasach wszystkie cuda natury można obejrzeć nie ruszając się z fotela. Aby poczuć zapach i dotknąć miejsc, należy znaleźć się bliżej. Zatrzymać samochód i przespacerować się przed pójściem do restauracji lub sklepu z pamiątkami. Natomiast poznanie wymaga zaangażowania. Czas jest jednak ograniczony, dlatego turystyka to abstrakt odwiedzanych miejsc. W streszczaniu miejsc pomagają nam przewodniki, a lokalni ludzie przyspieszają cały proces i wprowadzają w tajniki prawdziwych odsłon odwiedzanych przestrzeni. Pewnie bardzo dobrze znasz miasto w którym się wychowałeś, ale czy Ty i odwiedzający je turysta, znacie tak naprawdę to samo miejsce? Warto podczas podróży, zrobić coś więcej, niż pośpieszne zaliczanie punktów na mapie. Dla mnie na przykład wartościowym działaniem jest poznanie ludzi i kosztowanie ich lokalnego życia.

Udało nam się zachować dobry bilans turystyki oryginalnej do pospolitej. Wspinacze mają łatwiej. Połowę wycieczki byliśmy

w rejonach wspinaczkowych, w których nie trudno o nowe znajomości i niekonwencjonalne przygody. Spędzaliśmy z innymi ludźmi dużo czasu rozmawiając o skałach, drogach i przechwytach, ale też o zainteresowaniach, poglądach, krajach i doświadczeniach. Napotkani wspinacze to często również turyści. Ludzi w ich własnym środowisku najczęściej spotykaliśmy w miastach. Zwiedzanie miast stało się również częściowo niekonwencjonalne, głównie dzięki odwiedzanym gospodarzom. Mieli oni zwykle i swojskie pomysły na spędzenie czasu.

Wspinaczkowo Ameryka jest pełna możliwości. Poza Yosemite i Red River Gorge, odwiedziliśmy rejon nadający się do wspinania głównie zimą. Bardzo dużo jest wspinaczki przygodowej i górskiej, mniej wartego uwagi wspinania sportowego. Zima jest cudownym okresem dla fanatyków małych formacji. Sławne na całym świecie Hueco Tanks i Bishop są wypełnione bulderowcami. Dobre warunki panują też w Joshua Tree i Red Rocks obok Las Vegas. Koniec jesieni to najlepszy okres na Indian Creek. Jeżdżenie pomiędzy tymi rejonami to jak odwiedzanie stolic państw Europy. Trzeba naprawdę się postarać, żeby zaliczyć wszystkie te miejsca podczas jednej pozornie długiej wycieczki.

Cztery miesiące to dużo czasu. Człowiek szybko adaptuje się do panujących warunków i dlatego my szybko zdomowiliśmy się w Stanach. Po niedługim czasie poculiśmy się jak mieszkańcy Ameryki. Łatwo podróżuje się i żyje w USA, bo Europejczycy są częścią tego zachodniego świata. Można za wielką wodą mieszkać, można tu podróżować i można też tu wracać. Ameryka jest dostępna kulturowo, odległościowo i również cenowo. Mamy wiele miejsc w które chcielibyśmy wrócić i wiele które chcielibyśmy jeszcze zobaczyć.

Wspominając uśmiecham się. Stany czekają na nas. Tak samo jak wiele innych miejsc na świecie. Warto wyjeżdżać, a jeszcze lepiej wracać, bo powrót do domu, to ważny moment podróży. Powinien być jej sensem i głównym celem zarazem.







Bob Downs and Susannah Calvin, La Parva, Chile. Photographer: Adam Clark

## NEW STORM



Lumens : 250 | Weight With Batteries : 110g (3.9 oz) | Max Distances : [QuadPower LED] 80 m [DoublePower LED] 10 m | Max Burn Time : [QuadPower LED] 150 hours [SinglePower LEDs] 80 hours  
IPX Rating : 67 | LED Type : 1 QuadPower, 2 DoublePower | Batteries : 4 AAA (included)



 **Black Diamond®**

[BlackDiamondEquipment.com](http://BlackDiamondEquipment.com)



Trickline Teneryfa (na taśmie Filip Oleksik) Fot. Pigmej

## SLACKLINE FAQ

### RAFAŁ KUBIAK

#### CZYM JEST SLACKLINE?

Slackline, w dosłownym tłumaczeniu luźna linia (nie lina), jest w pewnym stopniu nowoczesną wersją znanej od czasów starożytnych sztuki chodzenia po linie. Współczesna technologia zastąpiła jednak niepewne konopne liny czy ciężkie stalowe kable lekkimi i wytrzymałymi taśmami z włókien syntetycznych. Dzięki swoim właściwościom - lekkości oraz elastyczności, taśmy umożliwiły powstanie nowego pojęcia balansowania oraz wykonywania akrobacji, które wcześniej były nieosiągalne.

#### SKĄD WZIĄŁ SIĘ SLACKLINE?

Przyjęło się, że slackline narodził się na przełomie lat 70. i 80. w Stanach Zjednoczonych. Grupa wspinaczy (przede wszystkim Adam Grosowsky US oraz Jeff Ellington US), ogromnie zainteresowanych historią linoskoczków, postanowiła powtórzyć niezwykle trudny numer akrobatyczny. W ramach swoich przygotowań korzystali ze wspinaczkowych lin i taśm. Z czasem okazało się, że jedno-

calowa (2,5 cm), nylonowa taśma zapewnia nie tylko dobry trening, ale i świetną zabawę. Stąd był już tylko krok, aby za sprawą środowiska wspinaczkowego, głównie w słonecznej Kalifornii, slackline urósł do rangi odrębnego sportu.

W Polsce slackline zaistniał wyraźnie po raz pierwszy w 2006 roku kiedy to zorganizowane zostały pierwsze polskie zawody w tej dyscyplinie, a następnie, rok później, pierwsze nieoficjalne Mistrzostwa Europy w galerii Blue City w Warszawie. Kolejne lata to stopniowy wzrost popularności tego sportu.

#### DLACZEGO SLACKLINE?

Slackline znakomicie rozwija balans i koordynację całego ciała wpływając na zmysł kinestetyczny (tzw. czucie głębokie). Jest niezwykle wartościowym uzupełnieniem standardowych treningów (polska kadra narciarska trenowała slackline!), a także stanowi bardzo skuteczny przyrząd rehabilitacyjny. Dla jednych może być formą relaksu i zabawy, a dla innych nawet medytacji. Najważ-

niejsze jest to, że slackline to sport dla każdego, bo każdy może w nim znaleźć coś dla siebie. Różne odmiany slackline - longline, highline, trickline, rodeoline, waterline - pozwalają "wybrać swój kierunek".

#### ODMIANY?

W longline chodzi o jak najdłuższe przejścia. Taka taśma jest szczególnie wymagająca technicznie i fizycznie, wymagając pełną koncentrację i kontrolę nad równowagą przez całą długość. Obecny rekord świata w długości przejścia longline wynosi 614 metrów (Alexander Shultz DE), a rekord Polski 410 metrów (Rafał Kubiak).

Highline to taśmy rozwieszone na znacznej wysokości - od kilkunastu do nawet kilkuset metrów nad ziemią. Wbrew pozorom to bardzo bezpieczny sport. Każda osoba znajdująca się na taśmie na wysokości jest trwale połączona z taśmą po której idzie, więc nie ma tu mowy o upadku na ziemię. Tu często pojawia się pytanie: 'skoro to takie bezpieczne, to





Na taśmie idzie Filip Oleksik - Norwegia. Fot. Paweł Jarosiewicz

co w tym niezwykłego?'. A jednak kiedy siedzi się na wąskiej, trzęsącej się taśmie, kilkadziesiąt lub kilkaset metrów nad ziemią, a z każdej strony napiera wręcz ogrom przestrzeni przed którą nie można odwrócić wzroku, umysł przestaje brać pod uwagę racjonalne argumenty. Do głosu dochodzą pierwotne instynkty, zmuszające do jak najszybszego powrotu na stabilny grunt. Przełamanie bariery strachu i wstanie na taśmie stanowi zwykle największe wyzwanie, a każdy kolejny krok przynosi co raz większą satysfakcję. Highline uczy nie tyle jak pokonywać własny strach, ale przede wszystkim jak go kontrolować.

Sam highline również posiada swoje odmiany. Jedną z ciekawszych jest spaceline czyli trzy lub więcej taśm połączonych w powietrzu w jednym centralnym punkcie. W tradycyjnym highline końcowym punktem przejścia, i jednocześnie punktem skupienia, pozostaje przeciwległe stanowisko - stabilne i nieruchome. Każdy kolejny krok przybliża do skalnej ściany lub półki, jednocześnie 'zamykając' przestrzeń dookoła. W spaceline jedynym punktem skupienia, i to nie do końca stabilnym, pozostaje zawieszona w powietrzu stanowisko centralne. Wrażenie spacerowania w stronę zupełnie otwartej przestrzeni trudno jest nawet opisać...

Wartym odnotowania faktem jest także obecny rekord świata highline wynoszący 1020m! Przejścia dokonali Nathan Paulin (FR) oraz Danny Menšík (CZ) w kwietniu 2016 roku we francuskich Alpach Nadmorskich, a trwało ono odpowiednio 75 minut i 40 minut.

Schodząc nieco bardziej na ziemię, albo raczej bliżej ziemi, nie można pominąć szalenie widowiskowej odmiany slackline czyli trickline. Trickline to bardzo mocno napięta taśma długości 12-18 metrów i szerokości 5 cm, wybijająca w powietrze niczym trampolina. Elastyczność taśmy pozwala na wykonywanie złożonych akrobacji w powietrzu, zakończonych rzecz jasna lądowaniem z powrotem na taśmie. Najlepsi zawodnicy potrafią wykonywać wiele salt, rotacji i odbić jedno po drugim, nie spadając z taśmy.

Występuje także bardziej niszowe czy sezonowe odmiany slackline jak rodeoline - bardzo luźno wiszące taśmy, bez żadnego napięcia, lub waterline - taśmy wiszące nisko nad wodą.

### JAK ZACZAĆ?

Potrzeba naprawdę niewiele, aby zacząć swoją przygodę z tym sportem: trawnik, dwa drzewa, taśma z prostym napinaczem i już można stawiać pierwsze kroki. Na początku warto próbować swoich sił na taśmie długości 4 - 6 metrów. Warto zaznaczyć, że im będzie ona sztywniejsza i mocniej napięta tym łatwiej będzie ją przejść. Minusem takiej taśmy będzie jednak jej nerwowe zachowanie, w postaci tak zwanego efektu "telegrafu" (szybkie trzęsienie się taśmy na boki). Opanowanie utrzymywania równowagi i pierwsze kroki przychodzą niemal każdemu zaskakująco szybko. Potem pozostaje tylko zwiększać odległości, zmniejszać napięcie taśmy, dodawać akrobacje lub wysokość i odnaleźć swoją odmianę tego sportu.



# ŻYCIE I WSPINANIE W IZRAELU

AGATA WIŚNIEWSKA



Fot. Colette McInerney

## PIERWSZE WRAŻENIA

Pierwszy raz przyleciałam do Amita do Izraela w lutym 2012 roku. Nie wiedziałam wtedy, czego spodziewać się po tym kraju, zarówno pod względem wspinaczkowym, jak i kulturowym. Przed wylotem przeszukałam Internet pod kątem rejonów wspinaczkowych i poziomu sportowego. Ani jedno, ani drugie nie wydawało się dorównywać temu, co spotykałam w często odwiedzanej dotychczas Hiszpanii. Nie dorównywało też temu, co prezentowało wspinanie w Polsce. Amit studiował wtedy w Tel Awiwie, który od pierwszego kontaktu wywarł na mnie bardzo pozytywne wrażenie – dużo słońca, piękna plaża w samym centrum miasta, ludzie z całego świata, prawie każdy mówił po angielsku, wreszcie bardzo różnorodna i smaczna kuchnia. Gdyby nie obecność żołnierzy na ulicach, nic nie wskazywałoby na to, że to drugie największe miasto kraju uwikłanego w trudne do rozwiązania konflikty religijno-etniczne. Tel Awiw to miasto tolerancyjne, otwarte na ludzi różnych wyznań, różnych orientacji seksualnych, różnej narodowości. Czuć tu świeżką i liberalną atmosferę, a jedyną królującą religią jest hedonizm. Chyba trafnie porównywany jest do Nowego Jorku, choć w Tel Awiwie pogoda jest ładna przez cały rok, a ceny wprawdzie niższe, choć nie niskie – piwo z beczki kosztuje ok. 30 NIS (1 NIS – szekla izraelska – jest warta około 1 PLN), a jednorazowe wejście na ścianę wspinaczkową ok. 60 NIS.

Ale są i niespodzianki. Jeśli jest się wspinaczem płci damskiej,

czasem można na taką ścianę wejść za darmo. Np. na pierwszej ścianie bulderowej w Izraelu, otwartej w 2007 roku pod szyldem Pefromance Rock w południowym centrum Tel Awiwu, takim darmowym dniem dla kobiet jest każdy czwartek. Zamiast zwyczajowo kilku kobiet pojawia się wtedy kilkanaście, a dominującą na co dzień liczba mężczyzn tego dnia się jeszcze podwaja. Moja pierwsza wizyta w tym miejscu była dość szokująca – i nie tylko dla mnie. W całym Izraelu istniało wówczas 9 średniej jakości ścian wspinaczkowych, głównie ścian do wspinania z liną. Mimo, że izraelscy juniorzy i juniorki dostawali się do finałów zawodów międzynarodowych IFSC w prowadzeniu, widok kobiety, wspinającej się na poziomie najlepszych wtedy mężczyzn, był dla klientów ściany dużym zaskoczeniem. Pamiętam, że przez kilka pierwszych treningów czułam się tam obserwowana jak małpka w zoo. Plusem było to, że od razu dostałam kilka ofert pracy jako trener i układacz dróg, gdybym tylko planowała w Izraelu przebywać dłużej.

## WSPINACZKOWE REJONY I ICH PROBLEMY

Pierwszym rejonem wspinaczkowym do którego pojechałam był położony 30 minut samochodem od Jerozolimy pustynny rejon Ein Fara. Znajduje się on w często odwiedzanym przez turystów parku narodowym Ein Prat, oficjalnie należącym do Izraela, ale znajdującym się na terenie autonomii palestyńskiej. Jadąc z domu rodzinnego Amita, pod Jerozolimą, dwa razy prze-



kroczyliśmy punkty kontrolne z uzbrojonymi izraelskimi żołnierzami i siłami bezpieczeństwa. To obraz bardziej smutny niż przerażający. Pamiętam jednak, że widok parku zneutralizował te negatywne poranne doznania. Ein Prat to urokliwy kanion, ze strumieniem dzielącym ściany wspinaczkowe na północne i południowe. Mimo, że to obszar pustynny, obecność jednego z głównych źródeł wody w tej części Izraela, sprawia, że zimą roślinność jest tu bujna, kwiaty kolorowe, trudno nie zauważyć dużej ilości mieszkających tam dzikich zwierząt: góralek, gazeli i wielu gatunków ptaków. Obecność tych ostatnich mocno ogranicza ilość udostępnionej wspinaczom skały, nie tylko w tym rejonie, ale i w całym Izraelu. Każdy strumień, źródło wody i skała na terenie Izraela są pod opieką władz izraelskich parków narodowych. Te zakazują wspinania w większości rejonów skalnych, argumentując, że Izrael jest ważnym przystankiem dla ptaków migrujących między Europą, Azją i Afryką, które to zakładają gniazda zazwyczaj w potencjalnie wspinaczkowych „no-hand-restach”. To prawda, że ptaków w rejonach wspinaczkowych jest sporo, jednak badania, jakie zostały przeprowadzone na zlecenie Izraelskiego Klubu Alpinistycznego pokazały, że większość gatunków ptaków gniazdujących jest lokalna. Władzom parków jest po prostu wygodniej zakazać wspinania w całym rejonie, niż na poszczególnych drogach czy nawet sektorach.

Mimo to Ein Fara to jeden z bardzo nielicznych rejonów, w których udało się wywalczyć pozwolenie na wspinanie. Na szczęście to rejon największy, zawierający ponad 100 obitych dróg w stopniu od 5a do 8c, trochę dróg tradowych i mikstowych, w solidnym wapieniu o głównie pionowych formacjach. Najlepsze warunki do wspinania na ścianach o wystawie południowej są tam zimą, a na ścianie o wystawie północnej - wiosną i jesienią. Jednorazowy wjazd do parku kosztuje ok. 30 NIS i do godziny 16 należy park opuścić. W pozostałych dostępnych rejonach za możliwość wspinania nie trzeba płacić, z wyjątkiem sprywatyzowanego parku Timna, leżącego na północ od Ejlatu, czyli na południu Izraela. Park oferuje piękne wspinanie sportowe, tradycyjne i buldering w piaskowcu. Jest to jednak rejon nieduży (blisko 40 dróg i około 60 bulderów), a warunki odpowiednie do wspinania są tylko zimną.

Dobrej jakości skały w Izraelu jest mnóstwo, dlatego nie ma co dziwić się, że istnieje wiele tzw. „secret spotów”, które nie widnieją oficjalnie w żadnym przewodniku. Powodem do ukrywania miejsc możliwej wspinaczki w niektórych rejonach jest nie tylko zakaz ze strony władz parków narodowych, ale i jego konsekwencje. Jeśli zostanie się przyłapanym, wykroczenie to może być karane grzywną sięgającą nawet 1000 NIS oraz konfiskatą sprzętu wspinaczkowego. Niewiele więc ryzykuje. Ukrywane jest też wspinanie na terenach pod zarządem palestyńskim lub na ich granicy z osiedlami izraelskimi – a właśnie tam znajduje się wiele skał, które mogłyby stać się rejonami o światowej klasie. Wspinanie się w tych miejscach jest mniej lub bardziej bezpieczne, w zależności od panującego aktualnie napięcia między Izraelczykami a Palestyńczykami. Wśród jednych i drugich wspinanie staje się bowiem coraz bardziej popularne. Dobrym zwiastunem tego jest fakt, że w tym roku dwóch młodych Amerykanów otworzyło pierwszą sztuczną ścianę na terytorium Autonomii Palestyńskiej, w stolicy – Ramallah (ich historia mogłaby stanowić osobny artykuł), a ilość ścian wspinaczkowych w Izraelu w ciągu ostatnich 4 lat się podwoiła. Przełożyło się to oczywiście na sukcesy sportowe Izraelczyków: Alex Khazanov regularnie pokonuje bouldery w stopniu 8B i 8B+, Netta Fredman walczy

w półfinałach Pucharu Świata w prowadzeniu, a młodzież w finałach juniorskich (Nimrod Marcus wygrał niedawno rozegrany Puchar Europy Juniorów na warszawskim Bloco). Od kilku lat, pod skrzydłami Izraelskiego Klubu Alpinistycznego działa organizacja non-profit „Climb4Change”, która organizuje wspólne zajęcia i wyjazdy wspinaczkowe dla młodzieży arabskiej i żydowskiej w wieku 13-17 lat. Wspinanie to jedna z niewielu rzeczy, która łączy, a nie dzieli tych młodych ludzi.

## JEROZOLIMA I THE BLOC

Miastem, w którym te podziały są najbardziej widoczne jest Jerozolima, jakże skrajnie odmienna względem Tel Awiwu. Stare Miasto tej jednej ze stolic świata jest pełne historycznych budowli i pielgrzymujących tu wiernych różnych religii. To widmo konfliktów i ścierania się trzech największych religii świata staje



jednak w opozycji do ludzi, którzy próbują i chcą żyć we wzajemnym poszanowaniu swoich wartości i kultur. Gdy w sobotę Tel Awiw tętni życiem, prawie cała Jerozolima zamiera w bezruchu szabatu. Piątkowa noc jest jednak jedyną w tygodniu, kiedy na ulicach poza murami Starego Miasta panuje cisza. Jerozolima to w końcu też miasto studenckie, a takie musi mieć swoje nocne życie. Gdy słońce zachodzi i cichnie zgiełk zatłoczonego od rana jerozolimskiego targowiska, poza historycznymi murami otwierają się knajpy i włącza się muzyka, z każdego baru inna. Ludzie piją piwo, wino, tańczą w wąskich uliczkach bazaru, który później przeobraża się w jeden wielki parkiet. Panuje tu wyjątkowa atmosfera – znacznie bliższa krakowskiemu Kazimierzowi niż nocnemu klubowaniu w sąsiednim Tel Awiwie. Burmistrz Jerozolimy, młody biznesmen Nir Barkat, od kilku lat bardzo dba o to, by mieszkańcom i turystom się nie nudziło. Przez okrągły rok odbywają się tu wystawy, festiwale i wydarzenia sportowe.

Coraz więcej miejsc otwiera się też w sobotę. Zachęceni tą przyjazną w ostatnich latach atmosferą, postanowiliśmy z Amitem i jego dwojgiem przyjaciół otworzyć bulderownię w samym centrum nowoczesnej części Jerozolimy, pośród jednych z najliczniej uczęszczanych knajp. The Bloc – bo taką nazwę wybrali dla naszej ściany potencjalni klienci w nieoficjalnym plebiscycie – działa od marca tego roku i okazała strzałem w dziesiątkę. Dla wielu spragnionych aktywności młodych osób jest to teraz jedno z ulubionych miejsc w mieście, gdzie nie tylko można się powspinać, ale też poznać nowych ludzi i wypić kawę czy piwo z beczki.



W Jerozolimie od dawna istnieje duża ściana do wspinania z liną i małą bulderownią. Jest ona jednak z dala od centrum, pod stadionem piłkarskim i jest obiektem o zupełnie innym charakterze niż ten, który chcieliśmy stworzyć na naszej ścianie. Dzięki różnorodności formacji, chwytów i struktur wspinaczkowych, przyrządom treningowym oraz cotygodniowemu przekręcaniu bulderów, jesteśmy atrakcyjni dla zaawansowanych wspinaczy, a świetna lokalizacja i atmosfera zabawy przyciąga wielu nowych klientów. To miejsce, w którym po prostu chce się być. Może dlatego przychodzimy tu prawie codziennie. Jak się nie wspinamy, to robimy trening siłowy lub układamy nowe buldery.

## WSPINACZKOWE PROJEKTY

O motywację do ciągłych treningów nie jest ciężko, w szczególności, że projektów do ukończenia mamy kilka. Zimą będziemy wracać na wymagającą drogę 8b Russian in space, znajdującą się w opisywanym wcześniej, bliskim mi parku Ein Fara. Ubiegłej zimy, przez problemy z kontuzjowanym barkiem, nie udało mi się nawet przejść do poziomu głównych trudności drogi, które to stanowi ciąg wspinania w pionowej skale po bardzo małych chwytach. Liczę, że ta część drogi powinna mi bardziej pasować niż wcześniejsze wysięgowe ruchy w przewieszonym tere-

nie. Późną jesień i wczesną wiosnę spędzimy najpewniej sporo czasu w jednym z „secret spot-ów”, gdzie nie brak trudnych dla nas dróg, również w nieokreślonym jeszcze stopniu trudności. Podczas noworocznej wizyty silnej grupy Austriaków dwa i pół roku temu, Kilian Fischhuber miał próbować swoich sił na na razie najtrudniejszej i zarazem najbardziej imponującej linii w tym rejonie – ciemnoszarym ścieku w formacji fali. Podobno potwierdził propozycję wyceny drogi na około 8c+/9a. Byłaby to najtrudniejsza i całkowicie naturalna droga w Izraelu. Tymczasem, póki temperatury wynoszą wciąż ponad 30 stopnie, jedynym rejonem, gdzie da się wspiąć, jest znajdująca się na



północy Izraela, tuż przy granicy z Libanem, grotą Nezer – dziura w ziemi, do której wejście zdradza wielkie drzewo figowe. Jest tam ponad 30 dróg, głównie ósemkowych. Większość wspinania wiedzie dachami i dużymi przewieszzeniami o szaro-czarno-pomarańczowych kolorach. Tam znajduje się pierwsza w Izraelu linia o trudnościach 8b – Blue Bear – kolejna piękna droga, którą mam zamiar ukończyć jeszcze w tym roku. Wspinanie w dachu nigdy nie było moją mocną stroną, dlatego jest ona dla mnie dużym wyzwaniem. To dwa kilkunasto-ruchowe, techniczne buldery w 30 stopniowym przewieszeniu, o trudnościach około 7B każdy, rozdzielone atletycznym i bardzo trójwymiarowym wspinaniem w poziomie. Grotę Nezer, oddaloną około 3 godziny jazdy od Jerozolimy, odwiedziłam na razie tylko raz – kilka tygodni temu. Po drodze Amit pokazał mi piękny, ciągnący się kilometrami kanion, jakością skały i formacjami wyprzedzający wiele z światowej klasy rejonów sportowych. Niestety, także i tam wspinanie jest całkowicie zabronione. Może wejście wspinania do grona sportów olimpijskich da nowe argumenty w dialogu wspinaczy z władzami parków narodowych Izraela i spojrzą one na nasz sport i pasję bardziej przychylnym okiem. Kraj ten na pewno ma ogromny potencjał do bycia jedną z czołowych, zimowych destynacji wspinaczkowych i dla odmiany bardzo różną od tak często odwiedzanej zimą Hiszpanii.



{właściwe proporcje}

Wspinarstwo w Polsce - 100 lat. Albumy i filmy z okazji 100-lecia.

byłan zone  
**wspinarie.pl**  
serwis wspinaczkowy

newsy ■ artykuły ■ poradniki ■ forum ■ sprzęt ■ filmy ■ topo ■ blogi ■ relacje ■ testy ■ ogłoszenia



## W POGONI ZA ŚNIEGIEM. SKITUROWE KOŁO FORTUNY

BARBARA SUCHY

*W popularnym kiedyś teleturnieju, koło pola z wielką wygraną czekał się „Bankrut”. Wystarczyło zakręcić kołem za mocno albo odrobinę za słabo. Tu podobnie – przestrzelisz o jeden dzień, a wymarzona śnieżna aura zmienia się w ociekającą deszczem breję. Upolować jak najwięcej tych najlepszych dni w sezonie to element całej zabawy. Drugim jest to, że na wymarzony zjazd trzeba sobie zarobić solidnym podejściem.*

Na trasach w ośrodkach narciarskich wszystko jest proste. Śniegu mało, to się go dosypie, uklepie i jest. Co najwyżej można pokręcić nosem na mgłę albo tłum na stoku. Wychodząc na nartach w góry, trzeba przyzwyczaić się do ciągłych rozterek: dosypie, nie dosypie, przymrozi w nocy czy wywieje, przytopi czy skuje w lodoszreń? Po co się więc tak głowić a do tego jeszcze męczyć później na podejściu? – zapyta ktoś. Bo nie ma mowy, żeby przygotowany stok dał ci tyle frajdy i satysfakcji co zjazd pięknym, górskim żlebem, do którego nie podwiezie żaden wyciąg.

### 1. ZIMA START!

Jest, nareszcie zrobiło się białe! Na początek trochę niemrawo. Śniegu jeszcze nie wystarcza na porządne tury nar-

ciarskie. Klasyczne rozpoczęcie sezonu na Kasprowym i oczekiwanie na kolejne dostawy. Trasa narciarska przez Halę Goryczkową to na początku sezonu istny trakt skiturowy (wyciągi wtedy jeszcze tu nie działają). Popularne miejsce zarówno wśród tych, którzy dopiero zaczynają się bawić w ten sport, jak i wśród skiturowych weteranów. Dopóki warunki za słabe, żeby ruszyć dalej, można tu zrobić niezły trening kondycyjny. Z Kuźnic na Kasprowy mamy około 900 metrów przewyższenia, czyli prawie tyle, ile pokonuje się minimalnie podczas całonocnej tury alpejskiej.

Dość późno, ale w lutym zima powoli się zadamawia. Śniegu wciąż niedużo, aura kapryśna, ale warunki zaczynają pozwalać na dłuższe wyjścia. Przy odrobinie refleksu. Kiedy robi się sensowny warun, trzeba z niego korzystać bez zastanowienia, bo następnego dnia przychodzi halny albo gwał-



towny deszcz i po planach. Udaje się zrobić kilka wycieczek w okolicach Hali Gąsienicowej i Doliny Pańszczy: Świnicka Przełęcz, Zadni Granat, Krzyżne. Piękny trawers z Morskiego Oka na Halę. Przejście przez Szpiglasową Przełęcz, zjazd do Doliny Pięciu Stawów a dalej podejście na Zawrat i zjazd zlembem w kierunku Zmarzłego Stawu to jedna z ładniejszych wycieczek w naszych Tatrach (fragment trawersu Tatr Polskich). Na początku marca udaje się ustrzelić fajną turę przez Czerwone Wierchy. Całodzienny trawers przez Ciemniak, Krzesanicę, Małołączniak i Kopę Kondracką to również jeden z narciarskich klasyków. Wyruszając z Doliny Kościeliskiej mamy pewne wątpliwości, bo wszystko na dole spowite mgłą i chmurami. Tura nie jest bardzo wymagająca technicznie, ale to długie przejście, a przy złej pogodzie i braku widoczności nie trudno się pogubić. Powyżej Chudej Przełęczki pokonujemy jednak powoli poziom chmur i robi się pięknie. Na grani słońce i widok, jak z pokładu samolotu. W „strefę chmur” wpadamy znowu na zjeździe z Kopy. Z pomocą GPS i widocznych na stoku śladów podejścia (Przełęcz pod Kopą jest jednym z najpopularniejszych celów na pierwsze wycieczki skituarowe) docieramy do schroniska na Hali Kondratowej.

Ale pogodowa loteria trwa. Kolejny weekend rozpoczyna się jak marzenie: śniegu dosypało, w nocy trochę osiadł, wychodzi piękne słońce. Kumpel z radości szoruje orły na śniegu przed schroniskiem na Kondratowej. Piękny dzień, piękne zjazdy, oby tak dalej! Jedziemy zobaczyć, co słychać u naszych południowych sąsiadów. A tu koniec złudzeń. Nazajutrz mokro, buro, gwałtowne ocieplenie. Próbuje podchodzić Kamienistą Doliną w kierunku Pyszniańskiej Przełęczki, przecież nie jesteśmy z cukru! Jednak, gdy lekka mżawka zamienia się w strugi deszczu, dezerteruję. Kierunek: bar! Czekamy, aż pogodzie odwiedzą się takie psikusy....

## 2. ALPEJSKA WYGRANA

Marzec. Austria, Ötztal. Dolina przysypana świeżym śniegiem. Wygląda na to, że jest naprawdę dobrze! Jedziemy na sam jej koniec – do miejscowości Obergurgl, skąd chcemy wyruszyć na któryś z okolicznych trzytysięczników. Podejście do schroniska – najpierw kawałek skrajem trasy, potem odbijamy z ośrodka narciarskiego na szlak do Langtalereckhütte. Sporo śniegu wiatr poodkładał po zachodniej stronie, tworząc piękne połacie nietkniętego puszk. Trochę kusi nas, czy nie czmychnąć takim wyśnieżonym lejem w dół. Ale wylądowałybyśmy w dolinie i byłoby za późno, żeby podchodzić na nowo. Karnie drepczemy do schroniska, gdzie świeżutcy, wyperfumowani Austriacy, pałaszujący wielkie porcje schroniskowej kolacji, z lekkim zdumieniem patrzą na dwie baby w goretkowych spodniach, siedzące nad mapą i przytarganą z dołu konserwą. Wyszło spontanicznie, bo z Adą spotkałyśmy się gdzieś pomiędzy narciarskimi wyjazdami (obie uczymy jeździć), więc zamiast się długo namyślać, wrzuciłyśmy szpej do plecaków, nakleiliśmy foki i w górę.

Pogoda żyłeta. Podejście doliną Hochebenkar przyjemne i niemęczące. Większość śniegu poodkładała się w dolinach, im wyżej, tym stoki bardziej wywiane. Grań Eiskogele wysmaga wiatrem i złodziona, więc na ostatni kawałek wiążemy się liną. Kilka fotek na szczycie, odklejamy foki, zapinamy narty

i ruszamy w dół. Tu niespodzianka. Ujeżdżam kawałek i nagle cały śnieg obsuwa się spod nart, a ja ląduję na gołej płycie skalnej. Okazuje się, że śnieżne pole pod granią to atrapa, tak słabo związane, że do jazdy się nie nadaje. Z bólem serca, kawałek po kawałku zsuwam się po resztkach śniegu, słysząc jak ślizgi szorują po skale. Bez większych problemów na szczęście



(oprócz paru rys na ślizgach) trawersujemy na drugą stronę grani i lodowcem Hangererferner ruszamy w dół w kierunku Obergurgl. Tu śniegu zdecydowanie więcej, udaje się nam nawet złapać parę skrętów w sybkim puszk. Dzień za milion! Dopisujemy do listy najlepszych strzałów tego sezonu.

## 3. W TATRACH BEZ ZMIAN

Kwiecień w Tatrach to znów zabawa w ciucibabkę z pogodą. Zazwyczaj właśnie przełom marca i kwietnia jest najlepszym czasem na fajne skituarowe wyrypy. Dzień jest wtedy dłuższy,



śniegi stabilniejsze, a na wielokrotnie podtapianych przez słońce w ciągu dnia i przymrażanych nocą stokach tworzy się firn – ulubiony śnieg wszystkich narciarzy. Ale w tym roku zima postanowiła urozmaicić nam życie. Tym razem trafiam na istny beton. Mróz wziął się znowu do roboty i postanowił przytrzymać wszystko, co przez ostatnie dni wyjeżdżało z okolicznych zlembów. Zjazd z głównej grani Tatr między Kasprowym a Świnicą na północno-wschodnią stronę przypomina więc trochę borowanie u dentysty. Zamiast gładkiej pokrywy śnieżnej mamy zmrożone kalafiora wytopyte kilka dni wcześniej przez słońce. Jedyna rada, stanąć mocno na nartach i nie dać się wytrącić z równowagi. Typowo północne wystawy okazują się nieco łaskawsze, bo choć twardo,

to równo, można sobie trochę pofolgować. Zmęczeni, ale zadowoleni docieramy wieczorem do schroniska w Popradzkim Plesie z zamiarem wyruszenia następnego dnia dużą grupą na Koprowy Szczyt. Rano hop, zmiana: po ciepłej nocy przychodzi jeszcze cieplejszy dzień. Lampa taka, że do Hincovego Plesa przychodzimy w krótkich rękawkach. Stąd kawałek stromszego podejścia na przełęcz i prosto granią na szczyt. Śnieg coraz bardziej mokry, przepadający. Na zjeździe można wyskoczyć z butów bo co kilka metrów przytrzymuje narty. Ty jedziesz dalej, one zostają. Przez Koprową Przełęcz wracamy do Popradzkiego Plesa, wieszcząc szybki koniec sezonu.

#### 4. BEZWARUNKOWA MIŁOŚĆ

Koniec maja. Podejścia z buta robią się

coraz dłuższe, bo poziom śniegu coraz wyżej. Wypadałoby pójść wreszcie po rozum do głowy i odstawić narty do szafy. Ale jakoś tak głupio bez porządnego akcentu na pożegnanie. Jedziemy ze znajomymi na Słowację, żeby coś jeszcze z tej zimy wyciągnąć i ze spokojnym sumieniem zakończyć sezon. Wcześniej rano z Hrebienioka wyruszamy w kierunku Chaty Teryego. Cel: Baranie Rogi. O tej porze roku trzeba się uwijać, bo im później, tym cieplej, śnieg coraz bardziej namoknięty i ciężki. Ani to przyjemne, ani bezpieczne. Z nartami na plecach podchodzimy prawie pod samą Terinkę. Tu można wreszcie przykleić foki i przebrać się na narty. Żłebem gęstymi zakosami wychodzimy na Baranią Przełęcz. Choć dopiero wczesne popołudnie, ale słońce coraz bardziej przygrzewa a sąsiednimi żłebami zaczynają wyjeżdżać

drobne zsuwy. Opuuszczamy szczyt i z przełęczy śmigamy w dół. Decyzja okazuje się niezła, bo śnieg jest idealny do zjazdu, lekko namoknięty ale jeszcze trzyma. Jedzie się cudnie, warto było się tu wybrać dla tych 20 minut zjazdu! Sto metrów poniżej Terinki narty znów na plecy i dawaj w dół z buta.

Można powiedzieć, że to desperacja, ja wolę – że bezwarunkowa miłość. Na koniec sezonu dodatkowo każdy skiturowiec dostaje gwałtownej amnezji – w mig zapomnina o tym, jak upocił się na podejściu i ile razy wyklinał na pogodę. Zostawia w głowie tylko te najpiękniejsze łupy i już snuje plany gdzie to wybierze się w następnym sezonie...



  
**DIAMIR**  
**FRITSCHI SWISS**





# TATRZAŃSKA SUPERLINIA

JAN KUCZERA

Superlinia oznacza dla mnie drogę na ścianie lub górze, która od razu przyciąga wzrok, jest odpowiednio długa i oferuje rzetelne wspinanie. To linia, która przede wszystkim jest estetycznym majstersztykiem, jakby była wymalowana pędzlem przez największego z artystów tego świata, samego Boga. Superlinie nadają niepowtarzalne piękno gór, a mnie osobiście motywują do wspinania.

Jadąc samochodem w Tatry od strony Jurgowa, moją uwagę spośród wszystkich widocznych szczytów chyba najbardziej przyciąga Masyw Lodowego, którego wierzchołek sięga 2627m n.p.m. Na Lodowy Szczyt wyprowadza wiele linii, a jedna z nich prezentuje się naprawdę godnie.

Ta superlinia rozpoczyna swój przebieg jedną z ładniejszych tatrzańskich zerw, Małą Śnieżną Turnią, by później przejść w niebanalną Grań Śnieżnej Turni i zakończyć na Lodowym Szczycie.

W styczniu 2015 r. wraz z Wojtkiem Malawskim próbowaliśmy pokonać tę linię przechodząc Małą Śnieżną Turnię drogą Bakośa-Petrika. Samą drogę udało nam się przejść zimowo-klasycznie, jednak po biwaku na wygodnej półce tuż pod szczytem MŚT, następnego dnia byliśmy zmuszeni zrezygnować z dalszej wspinaczki ze względu na kiepskie warunki śniegowe powyżej.

Moja kolejna próba na tej linii nastąpiła wiosną, kilka miesięcy później. Ta pora roku ma to do siebie, że dzień jest długi, na podejściu w godzinach rannych występuje twardy śnieg o strukturze styropianu, a warunki na północnych ścianach są nadal mocno zimowe. Niewątpliwie jest to najlepszy czas na realizację długich wspinaczek w bardziej odległych częściach Tatr. Na tą wspinaczkową wycieczkę wybieram się z Łukaszem Deptą, z którym z niejednego pieca już chleb jadłem. Tym razem planuję wspinaczkę na lekko w stylu non-stop.

22 kwietnia o 3 nad ranem wyjeżdżam z Krzeszowic, przytulnego miasteczka położonego na zachód od Krakowa, miejsca mojego tymczasowego zamieszkania. Po drodze odbieram zaspanego Łukasza i parę minut po 5 nad ranem meldujemy się w Javorinie u wylotu Javorowej Doliny. Szybki przepak i podchodzimy.

Jest mroźnie, warunki na podejściu są wyśmienite. Mimo to dojście pod ścianę Małej Śnieżnej Turni znajdującej się w Dolinie Czarnej Javorowej i tak zajmują nam dobre 2 godzi-

ny. Zanim wbijamy się w ścianę słońce świeci w pełni. Tym razem Małą Śnieżną Turnię przechodzimy drogą Stanisławskiego. Wiesław Stanisławski był wybitnym taternikiem okresu międzywojennego, który na każdej z bardziej liczących się tatrzańskich ścian ma wytyczoną drogę.

Muszę przyznać, że droga nie należy do banalnych i pomimo niewygórowanych letnich trudności technicznych sięgających V, oferuje uczciwe wspinanie z wymagającą asekuracją często w kruchej skale. Są momenty, że mam wątpliwości czy postąpiłem słusznie biorąc do wspinania linę pojedynczą zamiast podwójnej. No cóż, został dokonany wybór prędkości nad bezpieczeństwem. Niestety warunki w ścianie nie są tak idealne jak na podejściu. Niby jest lód, ale napowietrzony i odspojony, przez co nie daje pewnego oparcia dla raków i ostrzy czekanów. Wyżej śnieg zamienia swoją strukturę ze styropianu w cukier. Dodatkowo w miejscach, gdzie słońce dłużej operuje, śnieg zamienia się w mokrą breję, a ścianą zaczyna płynąć woda.

Wspinamy się tak szybko, jak potrafimy w tych warunkach i dopiero po 8h udaje nam się przejść tą liczącą około 550m przewyższenia drogę. Jest to pierwsza część naszego projektu. Przed nami Grań Śnieżnej Turni, ale najpierw chwila wytchnienia. Następnie skracamy linę i od tej pory napieramy z asekuracją lotną. Grań, którą podążamy, pomimo swoich niewysokich trudności letnich III-IV, w warunkach zimowych nie jest banalna. Przysypane śniegiem płyty i rzadka asekuracja wymaga dużego skupienia. Przychodzi noc, więc wyciągamy czołówki, a tempo spada. Po jakimś czasie grań się kończy, a my wychodzimy na ramię wyprowadzające już bezpośrednio na wierzchołek Lodowego Szczytu. Pogoda jest wyśmienita. Po 14.5h od wejścia w ścianę stajemy na szczycie Lodowego. Czeka nas jeszcze zejście potężnym Sobkowym Żlebem, którego dużą część pokonujemy schodząc plecami do ekspozycji na przednich zębach raków. Idąc już nad ranem Javorową Doliną, ze względu na monotonię zejścia zdarza mi się przysnąć, jednak to w niczym nie przeszkadza nogom iść dalej. W moim odczuciu była to jedna z najfajniejszych tatrzańskich wspinaczek, jakie udało mi się do tej pory zrealizować.

## Szczegóły przejścia:

- 22-23 kwietnia 2016
- Łukasz Depta (HardRock-wspinanie, Instruktor Alpinizmu PZA), Jan Kuczera (HardRock-wspinanie, Instruktor Alpinizmu PZA)
- Droga Stanisławskiego na Małej Śnieżnej Turni (ok. M5+) + Grań Śnieżnej Turni (ok. M4+) + Lodowy Szczyt – 14,5 godziny
- Około 1000m przewyższenia
- Cała akcja od samochodu do samochodu 22,5 godziny.

## Jan Kuczera

**Instruktor Taternictwa Polskiego Związku Alpinizmu**  
**Instruktor Wspinaczki Wysokogórskiej**  
**Szef szkoły wspinania HardRock**





Fot. Maciej Ostrowski

## KRÓTKIE WPROWADZENIE DO DRYTOOLINGU DAMIAN GRANOWSKI

Drytooling jest to wspinaczka z rakami i czekanami po drogach obitych. Swoje początki miał w latach 90. XX wieku we wspinaniu miksowym i lodowym, a z czasem stał się on oddzielną dyscypliną uprawianą w specjalnie wydzielonych do niego ogródkach wspinaczkowych.

Początkowo wspinacze lodowi chcieli się dostać do wiszących sopli, bez zbędnych ceregieli z przebijaniem całego sprzętu wisząc tuż przed lodem. Zaczęli więc łąć w rakach i czekanach pozbawione lodu fragmenty skał (stąd angielska nazwa, którą można przetłumaczyć jako „suche narzędziowanie”), aby jak najszybciej dostać się do lodu. Asekuracja była raczej tradycyjna (haki, kości, friendly, śruby), a z czasem zaczęto ubezpieczać drogi za pomocą spitów.

Szybko zaczęto otwierać drogi, które były czysto skalne i oferowały całkiem rześkie ruchy w przewieszeniu. Od tego czasu zmieniło się wiele (głównie sprzęt, o którym później) i dziś drytooling staje się coraz bardziej popularny za sprawą renesansu wspinania miksowego w górach (szczególnie w Polsce).

Do opisu dróg drytoolowych stosuje się zazwyczaj skalę miksową „M” (mixt) lub tożsamą z nią skalę „D” (dry) dla dróg czysto skalnych. Po literze dodajemy cyfrę arabską z ewentualnym plusem lub minusem – Przykładowo M6+.

Cieężko ją porównać z wspinaniem klasycznym. Mniej więcej VI.1 odpowiada M7, ale te porównania są tylko szacunkowe. Skala jest otwarta i aktualnie najtrudniejsze drogi oscylują wokół M15.

### Do czego może się przydać?

Jeśli interesuje nas trudne, górskie wspinanie, to właściwie nie obędzie się bez drytoolingu. Pozwala on na naukę wyczucia tego jak zaczepiać czekany i raki. Buduje też odpowiednią wytrzymałość i siłę do pokonywania trudnych wyciągów. Generalnie świetnie przekłada się na tatrzańskie zimowe wyrypy.

Dla wspinaczy lodowych też będzie miał pozytywny aspekt. Właściwie jeśli wejdziemy na poziom M7-M8 to później wyciągi W15 powinny wydawać się nam „łatwe”, a przynajmniej naszym przedramionom.



### Sprzęt

Podstawowym sprzętem są oczywiście raki i czekany – raczej z górnej półki. Czekan do trudnego mikstu, a właściwie „dziabka” ma mocno wygięte stylisko, cofniętą rękojeść (typu ergo), wymienne – agresywne – ostrze i możliwość (de)montażu łopatk/młotka (choć nie zawsze). Na rynku znajdziecie kilka sensownych propozycji (BD Fuel, Cassin X-dream, DMM Switch, Petzl Nomic).

O ile do prostego drytoolingu wystarczą zwykłe raki paskowe, przynajmniej na początek, tak jeśli myślimy o wspinaniu na nieobitych lub trudnych drogach mikstowych to konieczna jest inwestycja w raki automatyczne z wymiennymi zębami atakującymi (możliwość założenia mono lub duopointa). Jeden ząb atakujący pozwala nam na precyzyjne stawanie w dziurkach i na krawędzkach. Automaty oczywiście pasują do butów górskich, które mają odpowiednią podeszwę z twardymi rantami. Cały taki zestaw jest dość ciężki, ale dość wszechstronny i możemy w nim robić w miarę łatwe drogi drytoolowe oraz łać w górach.





Fot. Maciej Ostrowski



Fot. Maciej Ostrowski

Jeśli myślimy o większych cyfrach to kwestią czasu będzie zakup rakobutów, czyli butów z doczepionymi „raczkami” (na stałe). Są o wiele lżejsze, ale to specjalistyczny sprzęt na trudne (przewieszane) drogi i na początku nie ma co zawracać sobie nimi głowy.

Na drogach wielowyciągowych używa się lonży, którymi doczepiamy dziabki do uprząży (jednocześnie zapewniając swobodę wspinania), aby w razie czego nam nie spadły.

Co jeszcze potrzebujemy ze sprzętu? Lina pojedyncza, kilkanaście ekspresów, sprzęt osobisty (zwłaszcza kask). Oczywiście do tego ubranie i obuwie. Do wspinania cienkie rękawiczki (na początek mogą być monterskie z Castoramy), a do asekuracji grubsze.

### Miejsca do uprawiania drytoolingu

W Polsce znajdziecie kilkanaście wydzielonych sektorów, gdzie można wspinąć się z rakami i czekanami. Zazwyczaj są to były kamieniołomy, gdzie skała nie przedstawia wielkiej wartości dla wspinaczy klasycznych. Poniżej krótka lista z odpowiednią adnotacją, jeśli chodzi o poziom trudności – P (początkujący), Ś (średnio zaawansowani) i Z (zaawansowani).

Zakrzówek w Krakowie (P, Ś); Rudy Kamień w Częstochowie (P, Ś); Betony (P, Ś, Z) i Kadzielnia (P, Ś) w Kielcach; Bula pod Bańchochem (Ś, Z) w Morskim Oku; Kamieniołom Wdźar (P, Ś); Jaskinia Jasna w Strzegowej (Ś); Janówek pod Warszawą (P, Ś, Z); Szopen i Mnisza Skała w Szklarskiej Porębie (P, Ś).



### Kilka porad na początek

- zacznij się wspinąć pod okiem kogoś bardziej doświadczonego (kolega lub instruktor),
- bezpieczniejsze do drytoolingu są dziabki bez łopatek i młotków (w większości przypadków można je zdemontować),
- na drogach jednowyciągowych nie wspinaj się z lonżami,
- precyzyjnie stawaj rakami na stopniach,
- na początku przewspinaj jak najwięcej metrów, aby lepiej wyczuwać dziaby,
- odpoczywaj (i wspinaj się) w miarę możliwości na wyprostowanych rękach.

**Damian Granowski (drytooling.com.pl, Team 8a.pl)**  
Instruktor wspinaczki sportowej

**SZKOŁA WSPINANIA**  
**DRYTOOLING.COM.PL**





**VAN FOR RENT**  
www. simplelife.com.pl



 **GREGORY.**  
gregorypacks.com

